

# Leclair Day

## Noc fantazji

*Milioner Joc Arnaud chce kupić od Rosalyn jej posiadłość. Brakuje mu tego kawałka ziemi do większej całości, na której zamierza wybudować wielki kompleks. Jednak dla Rosalyn ta ziemia to dom, który zamierza chronić. Wybiera się do Joca, by mu uświadomić, że nie ma na co liczyć. Ich spotkanie jednak, zamiast ostatecznie rozwiązać sytuację, jeszcze bardziej ją komplikuje...*

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Dość! Cały ten nonsens dziś się skończy, nieważne jak.

Rosalyn Oakley podeszła do wielkich, dwuskrzydłowych wrót prowadzących do sanktuarium Joca Arnauda. Zatrzymała się na moment, by zebrać się w sobie. Wytarła zwilgotniałe dłonie o dżinsy. Spokojnie. Zrobi to. Wystarczy tylko pamiętać, jaka jest stawka. Uśmiechnęła się lekko, bez radości. Żeby dotrzeć aż tutaj, musiała mieć zgodę Arnauda, inaczej ochrona by jej nie przepuściła. Może był ciekaw tej jedynej kobiety, która oparła się jego żądaniom, tak samo jak ona była ciekawa mężczyzny, który się nigdy nie poddaje.

Ta myśl dodała jej odwagi. Pchnęła drzwi i weszła do sali konferencyjnej Arnauda, do innego świata. Otoczyły ją niekończące się tafle przyciemnianego szkła, ukazujące oszałamiającą panoramę Dallas. Po tamtej stronie okien panował wilgotny upał, po tej chłód i spokój bogactwa.

Przed nią rozciągał się wielki, intarsjowany blat stołu. Rzemieślnik wykorzystał w nim chyba wszystkie istniejące gatunki drewna, od soczyście czerwono-brunatnego mahoniu, poprzez szaroniebieskawe kawałeczki czerwonego dę-

**Day Leclair**

bu, do śliwkowych elementów z czereśni. Na pewno był to jakiś wzór, ale nie miała jak porządnie mu się przyjrzeć, bo widok zasłaniało kilkanaście siedzących przy stole osób i porozrzucane wszędzie stosy papierów.

Gdy tylko weszła, wszystkie oczy zwróciły się na nią. Przyjrzała się każdemu z obecnych, próbując zidentyfikować Arnauda. Przez chwilę sądziła, że to człowiek siedzący u szczytu stołu, ale zaraz uznała, że jednak nie. Wtedy zauważyła opartego o ścianę mężczyznę trzymającego parującą filiżankę z kawą.

Wyglądał jak model biznesmena, od butów od Guccie-go do opinającego szerokie ramiona czarnego garnituru od Armaniego. Był muskularny i wyższy od niej o dobre dwadzieścia pięć centymetrów. Przechyliła głowę, by wygodniej mu się przyjrzeć spod ronda stetsona. Musiała mocno ją zadrzeć, tak był wysoki. Taka pozycja działała na jej niekorzyść.

Wpatrywał się w nią oczami osadzonymi w wyjątkowo przystojnej twarzy, szczupłej, opalonej na złoto, o wysokich, ostro zarysowanych kościach policzkowych. W jego rysach wyraźnie widać było dziedzictwo rdzennych Amerykanów. Włosy miał czarne i dłuższe niż przeciętnie mężczyźni noszą. Zaskoczyło ją to, bo to był przecież Joc Arnaud - potężny biznesmen.

Otwarcie zmierzył ją wzrokiem, co było mniej obraźliwe niż ukradkowe oszacowanie.

- Zgubiła się pani?

## **Noc fantazji**

**167**

- Wręcz przeciwnie, znalazłam się dokładnie tu, gdzie chciałam. - Podeszła bliżej. - Czy wie pan, kim jestem?

- Rosalyn Oakley - odpowiedział natychmiast. - Dwadzieścia osiem lat. Urodzona piątego kwietnia. Pięćdziesiąt cztery kilogramy. Jedyna dziedziczka Longhorn Ranch. - Uśmiechnął się drapieżnie. - I tu właśnie ja się pojawiam. Pani jest właścicielką rancza, a ja je chcę mieć.

To krótkie podsumowanie sytuacji zbiło ją nieco z tropu. Niewątpliwie o to mu chodziło. Szybko odzyskała rezon i przeszła do rzeczy.

- Dwóch pańskich pacholków właśnie złożyło mi wizytę. Wypada się zrewanżować. - Rzuciła okiem na zgromadzone wokół stołu postacie w garniturach, słuchające jej z wyraźnym zaciekawieniem.

Skinęła głową w ich stronę. - Będziemy się dogadywać publicznie czy woli pan w cztery oczy?

Nie odrywając od niej wzroku, rzucił jedno słowo.

- Wyjdźcie.

Nastąpiło krótkie zamieszanie, pełne ostentacyjnie okazywanej godności. W innych okolicznościach Rosalyn by to rozbawiło. Gdy tylko zamknęły się drzwi za ostatnim mężczyzną, odwróciła się do rozmówcy. Całą drogę do Dallas spędziła na planowaniu co powiedzieć.

- Zwrócił się pan do mnie, a raczej pańscy podwładni, z propozycją kupna mojego rancza. Za każdym razem, gdy się u mnie pojawiali, starałam się być uprzejma. Odmawiałam najbardziej zdecydowanie i grzecznie, jak umiałam.

**Day Leclair**

Doszło jednak już do tego, że potykam się o nich, gdziekolwiek się obrócę. To się musi skończyć. Ku jej konsternacji ta przemowa zmieniała jedynie intensywność jego spojrzenia i wywołała lekki uśmiech, co dodało mu atrakcyjności. Dopiero po chwili zdołała kontynuować. - W każdym razie przyjechałam, by osobiście pana powiadomić, że nie sprzedam farmy. Mam nadzieję, że w końcu to do pana dotrze i zostawi mnie pan w spokoju. Nieważne, co pan robi, ilu osiłeków pan naśle, nie opuszczę swojej ziemi.

Pod koniec jej przemowy odstawił filiżankę na stół. Z jego miny wywnioskowała, że odpowiedź jej się nie spodoba, ale zanim zdążył się odezwać, zadzwonił telefon. Przeprosił krótko i odebrał.

- Nie teraz - rzucił. Słuchał przez chwilę, skrzywił się i zwrócił do Rosalyn: - To zajmie najwyżej minutę.

- Czy mam zaczekać na zewnątrz? - Nie miała najmniej-'szej ochoty tego proponować, ale tak nakazywało zwykłe dobre wychowanie.

Potrząsnął głową.

- Witaj, MacKenzie. Co mogę zrobić dla mojej najmniej ulubionej siostry?

Rosalyn z drugiego końca pokoju usłyszała wściekłą odpowiedź. Ktoś był naprawdę rozeźlony.

- Wybacz, przyrodniej siostry. Tak lepiej? - Najwyraźniej nie, bo pełna złości przemowa trwała, dopóki się nie wtrącił. - O ile się nie mylę, zadzwoniłaś z prośbą. Sugeruję,

## Noc fantazji

169

żebyś przeszła do rzeczy, zamiast odgrzebywać zamierzchłe historie.

Słuchał długo. Rosalyn poczuła dreszcz, widząc jego chłodną i pełną niechęci minę. Czy naprawdę takie uczucia żywił do siostry? Nie rozumiała dlaczego. W końcu rodzina to rodzina. Do powstania takiego rozdzwięku musiały doprowadzić jakieś bardzo niemiłe wydarzenia.

-Nie, MacKenzie, i to ostateczna odpowiedź. Twoja matka sprzedała tę nieruchomość mnie, a jeśli nie podoba ci się taka decyzja Meredith, poinformuj o tym raczej ją. - Uśmiechnął się lodowato. -

Przynajmniej i ty, i moi bracia, przepraszam, przyrodni bracia, możecie się pocieszać, że wszystko pozostało w rodzinie, nawet jeśli w posiadaniu potomków z nieprawego łoża.

Przerwał połączenie. Choć sprawiał wrażenie opanowanego, spostrzegła, że ten spokój kruszy się na brzegach. Z wolna gniew zniknął z jego oczu, a kiedy się odezwał, był już całkowicie opanowany.

- Zaczniemy od początku, tym razem we właściwy sposób. - Wyciągnął rękę. - Joc Arnaud.

Zawahała się przez moment, ale podała mu dłoń.

- Rosalyn Oakley.

Ujął jej rękę i nagle obszerna sala konferencyjna zrobiła się za mała. Poczowała się przez niego przytłoczona, jego dotykiem, wzrostem, siłą, męskim zapachem. Zabrakło jej tchu, a myśli się poplątały. Nie powinna odczuwać czegoś takiego wobec zupełnie obcego człowieka. Niestety, właśnie

**Day Leclair**

się okazało, jak kompletnie nie może zapanować nad fizjologicznymi reakcjami na niego. Zwłaszcza jedna jego cecha powodowała straszne zamieszanie w jej myślach. Jego twarz.

Emanowała specyficzną siłą, posiadaną zazwyczaj przez mężczyzn zachowujących ostrożny dystans, podczas gdy kobiety jedna przez drugą walczyły o jego pokonanie. W dodatku była najbardziej atrakcyjna - przy tym groźna - ze wszystkich twarzy, jakie w życiu widziała.

Co jej o nim mówiono? Czarne włosy, czarne oczy, czarne serce. Dlaczego nikt jej nie ostrzegł przed tym równie mrocznym pożądaniem, jakie wzbudził jednym dotknięciem?

- Chcę kupić Longhorn Ranch - wypalił. - Co mogę zrobić, żeby to osiągnąć?

To pytanie uwolniło ją spod czaru. Oswobodziła dłoń z jego uścisku. Z trudem pohamowała chęć otarcia jej o spodnie. Cofnęła się nieco.

- Panie Arnaud, rzecz jest najprostsza z możliwych. Nie sprzedam.

Machnięciem dłoni zbył jej odmowę, jakby nic nie znaczyła.

- Chyba pani nie rozumie. Ja wygrywam. Zawsze. Nieważne jakim kosztem.

Lodowaty dreszcz przebiegł jej po plecach, ale starannie ukryła ogarniający ją lęk.

- Nie tym razem.

## Noc fantazji

171

- Zawsze. - Założył ręce na piersi. - Proszę mi wyjaśnić, dlaczego jest pani tak uparta?

Zaproponowałem bardzo godziwą cenę, prawda?

Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Zdjęła kapelusz i rzuciła go na blat.

- Pieniądze nic mnie nie obchodzą! Ta ziemia jest własnością mojej rodziny od czasu, gdy Teksas stał się stanem. Opuszczę ją tylko w trumnie. - Przechyliła głowę. - Czy w ten sposób chce mi pan ją wydrzeć, panie Arnaud? Czy pana opryszki posuną się aż tak daleko, czy też mają polecenie ograniczyć się do ostrzeżeń i grózb?

- Nigdy się nie uciekam do fizycznej przemocy. - Skrzywił się. - Czy któryś choćby dotknął pani?

Skrzywdził w jakikolwiek sposób?

- Z żadnym nie miałam fizycznego kontaktu, ale - wzruszyła ramionami, przypominając sobie groźby w zachowaniu i spojrzeniach - tego typu ludzie potrafią bardzo wiele przekazać bez słów, rozumie pan.

- Zajmę się tym. Przemoc jest zbędna. Wręcz bezużyteczna. Każdy ma swoją cenę. Jaka jest pani?

- Nie ma żadnej - odparła.

W jego oczach mignęło rozbawienie.

- Oczywiście, że jest, tylko jeszcze nie zdaje sobie pani z niej sprawy. Ale znajdę pani słaby punkt, a wtedy sprzeda pani ranczo.

Kiedy uśmiechnął się do niej, zamarła. Jak to możliwe, żeby tym samym uśmiechem poruszył w niej wszystko



**Day Leclair**

co kobiece i jednocześnie zamienił krew w lód? Jakby stała twarzą w twarz z grizzly. Zachwycona potęgą i pięknem zwierzęcia, pragnąc chwycić taką wspaniałość w objęcia, a jednocześnie wiedząc, że to może kosztować życie. Jeden ruch łapy i... koniec.

- A jeśli nie sprzedam? Co wtedy?

- Będę podnosił stawkę, aż to zadziała.

- A jeśli bezskutecznie? Drzenie i niepewność głosu zdradziły jej niepokój. Niech to diabli! Nie mogła sobie pozwolić na okazanie temu człowiekowi najmniejszej słabości. Lecz z jego miny wywnioskowała, że właśnie tak się stało. Świetnie. Skoro raz spostrzegł, że nie jest niewzruszona, nigdy nie zrezygnuje.

- Zawsze istnieje sposób, żeby zdobyć, co się chce, trzeba tylko cierpliwości. Rzecz polega na odkryciu, jakie działanie jest skuteczne. Tak długo wypróbuję wszelkie możliwe podejścia, aż znajdę właściwą dźwignię. - Podszedł o krok. - Chyba raczej mi pani nie powie, jaka dźwignia będzie skuteczna w pani przypadku?

Znalazł się stanowczo za blisko.

- To chyba oczywiste. Czyli nie odwoła pan swoich zbirów? Nadal będzie mnie pan prześladował?

- Odwołam ich. Obiecuję, że się już nie pojawią. A co do prześladowania pani... - Potrząsnął głową. - To takie brutalne słowo. Wolałbym raczej powiedzieć, że lepiej się poznamy.

-Dlaczego miałby pan chcieć mnie lepiej poznać? A zwłaszcza co mnie po tym?

## Noc fantazji

173

- Oczywiście chodzi o uzyskanie lepszej pozycji w negocjacjach.
- Wolałabym poznawać bliżej grzechotnika. Z nim negocjowałabym tak samo jak z panem.
- Ucina mu pani głowę?
- Jeśli to konieczne. A jeśli chodzi o pana, to cóż... Każdy ma swoją cenę. - Specjalnie użyła jego własnych słów. - Nawet pan. Tylko jeszcze nie zdaje pan sobie z niej sprawy. Lecz odkryję pański słaby punkt. A wtedy odczepi się pan. Na zawsze.

Powiedziała już wszystko. Przyjazd tutaj był bez sensu. Arnaud nie zrezygnuje z prób przejęcia jej ziemi, choć niekoniecznie oznaczało to kupno. Najwyraźniej był przekonany, że posiada coś, czego ona chce. Ale tak nie było. Posiadała wszystko, czego mogłaby zapragnąć. Im szybciej zda sobie z tego sprawę, tym lepiej.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła do drzwi. Po drodze jej wzrok padł na blat mijanego stołu i prawie się potknęła o własne nogi. Oczyszczony z papierów ukazywał intarsjo-wany wzór: wielkiego, wspaniałego wilka.

Myliła się kompletnie w swojej analogii. Arnaud to nie grizzly, tylko szary samotnik. Widziała raz wilka w naturze i uderzyła ją chłodna inteligencja, którą zobaczyła w jego żółtych oczach. Samotny łowca. Dumny i jednocześnie opiekuńczy. Zrozumiała wtedy, dlaczego przez tysiąclecia tak wiele kultur umieszczało to zwierzę wśród bogów. Z całą ostrością uświadomiła sobie jedną rzecz.

**Day Leclair**

Właśnie rzuciła wyzwanie samemu legendarnemu Złemu Wilkowi. Ale w przeciwieństwie do tamtego z bajek, ten jeszcze nigdy nie przegrał.

Joc przyglądał się, jak Rosalyn sprężystym, długim krokiem wychodzi z pomieszczenia. Poruszała się jak kobieta świetnie się czująca we własnym ciele. Zauważył też jej spojrzenie na stół i potknięcie, gdy rozpoznała wilka. Uśmiechnął się, widząc tak wiele mówiącą reakcję. Rozbawiło go, że ten wzór zaniepokoił ją bardziej niż on sam.

Zatrzymała się na moment przed wyjściem, by otworzyć drzwi. Wpadające przez okna promienie słońca rozświetliły jej włosy niczym płomień. Poczul się oczarowany, związany z tą kobietą o włosach rudych, ale tak głębokiej barwy, że dopiero jasny blask słońca zdradził ich sekret.

Gdy tylko opuściła pokój, wcisnął przycisk na konsoli przy fotelu.

- Tak, panie Arnaud?

- Proszę zatrzymać windy.

- Tak jest, panie Arnaud.

Joc podszedł do drugiego końca stołu i wziął porzuconego tam stetsona, zapomnianego przez Rosalyn. Bardzo znoszony kapelusz pracującego ranczera, nie demonstracja dumy czy pogoni za modą, tylko rzeczywista ochrona przed kaprysami pogody. Mówił wiele o właścicielce... i jak sobie z nią poradzić.

## Noc fantazji

175

Ruszył w stronę wind. Zatrzymał się po drodze przy biurku sekretarki, wydał Maggie kilka instrukcji i polecenie odblokowania wind. Potem podążył za Rosalyn.

Zastał ją wciskającą ze złością przycisk. Zwolnił, by się jej lepiej przyjrzeć. Kiedy rozmawiali, miał wrażenie, że jest wysoka. Mylił się. Może to jej perfumy odwróciły jego uwagę albo typowo teksański kolor oczu, ale teraz widział, że jest raczej drobna. Włosy miała związane w ciasny węzeł na karku. Nic dziwnego, że nie zauważył ich prawdziwej barwy. Zapragnął rozpuścić je i zanurzyć palce w ich jedwabistych splotach.

Dzięki pracy na ranczu jej ciało było zwarte i silne, miała piękną linię bioder i nóg. Natura obdarzyła ją też idealnej wielkości biustem, perfekcyjnie wypełniającym męską dłoń. Zaś twarz miała naprawdę piękną, w typie, który nie traci urody nawet na starość. Wyraziste brwi, wysokie kości policzkowe i pełne usta - byłaby zbyt idealna jak na jego gust, gdyby nie drobna nierówność w Unii nosa. Skąd ta skaza?

Winda zadzwoniła za jej plecami. Z westchnieniem ulgi odwróciła się i weszła do kabiny. Joc podążył za nią, wywołując interesującą kombinację reakcji: niepokój, nieufność i świadomość kobiecości.

Drzwi się zaniknęły i ruszyli w dół.

- Chyba pani czegoś zapomniała. - Podał jej stetsona.

- Dziękuję - mruknęła, zakłopotana. Wzięła kapelusz i wcisnęła go na głowę.

**Day Leclair**

- Proszę bardzo. - Sięgnął obok niej i wcisnął przycisk zatrzymujący kabinę.
- Co pan robi? - W jej głosie dało się wyczuć strach. -Dlaczego zatrzymuje pan windę?
- Chciałbym złożyć pani inną ofertę. Przerwała mu zdecydowanym ruchem dłoni.
- Dziękuję, nie. Nie jestem zainteresowana.
- Tej jeszcze pani nie zna.

Rzuciła okiem na panel kontrolny. Założyłby się o milion, że z najwyższym trudem się opanowała, by nie zacząć na oślep uderzać w przyciski, byle tylko ponownie uruchomić windę.

- Na ile sposobów muszę przekazywać informację, że nie jestem zainteresowana? - spytała z chłodną godnością. - Odrzuciłam wszystkie poprzednie oferty. Z tą będzie tak samo.
- Pomyślałem, że dobrze by było umożliwić pani przekonanie mnie o swej determinacji przy kolacji.
- Kolacji?
- Tak. To posiłek pomiędzy lunchem a udaniem się na spoczynek.

Nie roześmiała się, za to na jej czole pojawiła się zmarszczka.

- Po co miałby mnie pan zabierać na kolację? Przecież pan wie, że odrzucę każdą ofertę.

Delikatnie pchnął rondo jej kapelusza, który przesunął się bardziej na tył głowy, odsłaniając twarz.

Ileż w niej

## Noc fantazji

177

charakteru, pomyślał z podziwem. Tyle siły i determinacji, i emocji, które wręcz emanowały, otaczając ją gęstą aurą kobiecości. Jak by to było rozdmuchać te płomyczki w ogniową burzę? Pragnął to sprawdzić, ale wszystko w swoim czasie.

- Skąd pani wie, że nie uda się mnie przekonać do rezygnacji? Proszę pomyśleć, będzie pani miała na to cały wieczór. Czas, w którym bez przerwy będzie pani skupiać na sobie moją uwagę. Godziny, które będzie można poświęcić na wyjaśnienie, dlaczego powinienem dać sobie spokój.

- Kuszące. - Zmierzyła go wzrokiem. Spostrzegła w jego oczach pożądanie. - A w czym tkwi haczyk?

- Dlaczego sądzi pani, że w ogóle jest jakiś haczyk?

- Bo to Joc Arnaud chce czegoś ode mnie. Bystra kobieta.

- Sama będzie go pani musiała znaleźć.

- A jeśli to coś, czego nie mogę zaoferować?

- Powie pani „nie”. Zna pani to słowo, nieprawdaż? - zakpił.

Ku jego zdumieniu zareagowała jedynie spokojną ripostą.

- Proszę uważać, bo dokładnie się pan dowie, jak dobrze je znam. - Zastanowiła się przez dłuższą chwilę. - Kolacja i rozmowa? To wszystko?

- To wszystko.

O ile nic więcej się nie zdarzy, bo już nie o sam interes chodziło. Pomiedzy nimi pojawiło się coś więcej, obudził

**Day Leclair**

się jakiś żywiol, który nieraz popychał Joca do podejmowania natychmiastowych decyzji. Jej ranczo znalazło się na dalekim planie przede wszystkim dlatego, że niedługo i tak będzie jego własnością, bez względu na to, czy ona ustąpi, czy będzie wściekle walczyć o każdy centymetr ziemi. Teraz po prostu za każdą cenę musiał zaciągnąć tę kobietę do łóżka. Nasycić się nią, nieważne, ile czasu to zajmie... ani jak bardzo będzie się opierała.

- Dobrze, zgoda - powiedziała w końcu.

- Tak myślałem, że mi się uda - mruknął i uruchomił windę, która ruszyła w dół.

Niewątpliwie wioząc ich wprost do piekła.

Rosalyn nie odrywała wzroku od drzwi kabiny i walczyła o odzyskanie równowagi. Kapelusz, który Joc przesunął jej na tył głowy, teraz naciągnęła prawie na oczy. Owszem, ukrywała przed nim wyraz twarzy, i co z tego? To już bez znaczenia w świetle faktu, że zachowała się jak idiotka. Totalna, bezmózga kretynka.

Arnaud ostrzegł ją, że zawsze wygrywa. Te sugestie kompromisów to dla niego tylko gra, droga do odhaczenia kolejnej pozycji na liście zwycięstw. Dla niej stawka była wielokrotnie wyższa. Ranczo to jej życie. Utrzymanie go bezpiecznie jako dziedzictwa dla przyszłych pokoleń Oa-kleyów było jej jedyną ambicją. Przysięgła to przy łożu śmierci, nie było więc miejsca na żadne negocjacje czy osobiste preferencje.

## Noc fantazji

179

Fakt, Arnauda nie obchodziły powody jej oporu, a jednak. .. jeśli zdoła mu wytłumaczyć ten rodzaj uczuć w języku dla niego pojmowalnym?

Zerknęła na niego spode łba. Wpatrywał się w nią z lekkim uśmieszkiem, sugerującym, że odgadł jej myśli. Coś knuł, ale zgodziła się na kolację i dotrzyma słowa. Spróbuje go nawet przekonać do rezygnacji, choć nie liczyła na sukces.

Niemniej w jednym miał rację: spędzenie z nim czasu da jej i lepsze możliwości dopracowania strategii, i nawet szanse wygranej, choć podejrzewała, że są nieskończenie bliskie zeru. To były pozytywy. Na drugiej szali położyła intuicyjne ostrzeżenie, że chciał od niej sporo więcej niż tylko ziemi. Zaprażyła się wycofać. To pragnienie ucieczki przesłaniało jej chęć walki. Otworzyła usta, żeby dać temu wyraz.

- Nie może pani - odezwał się tuż za nią. Jak zdołał się tak niepostrzeżenie podkraść?
- Czego nie mogę?
- Zgodziła się pani na kolację i nie może pani zmienić zdania.
- Skąd pan wie... - Zacisnęła usta i odwróciła wzrok. - W porządku, już rozumiem.
- Co pani rozumie? - Roześmiał się. Śmiał się z niej!
- Rozumiem, czemu odnosi pan takie sukcesy. Czyta pan w myślach.
- Tylko kiedy są wyjątkowo silne. Myśli lub emocje. Skrzywiła się. Czyżby sugerował, że wyczuł jej reakcję



**Day Leclair**

emocjonalną na niego? Powinna częściej wyjeżdżać z ran-cza. Chodzić na randki. Lepiej zrozumieć męski sposób myślenia, nauczyć się radzić sobie z takimi jak Arnaud. Bo pan Zły Wilk miał szczególny wpływ na kobiecą część jej natury, co stawiało ją w niekorzystnym położeniu.

- Obiecałam, że pójdę z panem na kolację i dotrzymam słowa, jak zawsze.

- Ja także dotrzymuję obietnic.

- Da mi pan prawdziwą szansę odwiedzenia pana od zakusów na moje ranczo?

-Tak.

Chciałaby przycisnąć go mocniej, ale nie wiedziała jak. Musiała jednak spróbować.

- Naprawdę dopuszcza pan możliwość zmiany zdania?

- W moim biznesie elastyczność bardzo się opłaca. -Twarz mu stężała. - Opłaca się też dążenie do realizacji celów w każdy dostępny sposób.

- Dziękuję za radę, zastosuję się do niej. - Wpadła na pomysł, jak uzyskać lepszą pozycję. - Zacznę od załącznika do umowy.

- Negocjacje? - spytał, zaintrygowany. - Moja ulubiona rozrywka. Jaki to załącznik?

- Zjemy tę kolację u mnie.

- Chce pani prowadzić rozmowy na własnym terenie. Dobre posunięcie.

Pochylił się ku niej. Musiała się z całych sił skupić na regularnym oddychaniu. Wpatrywał się w nią głęboko os-

## **Noc fantazji**

**181**

dzonymi, czarnymi oczami. Lecz to jego usta coś w niej poruszyły, coś, czego nie czuła od lat. Nie potrafiła powstrzymać się od myśli, co te wargi mogłyby jej zrobić... Czy całował równie dobrze, jak zarabiał pieniądze?

- Mój teren czy pani to bez znaczenia - dodał. - Nie gram w softball, moje piłki są niskie, szybkie i kręcone. Jeśli nie będzie pani uważała, zwałą z nóg.

Dopiero po chwili do niej dotarło. Cofnęła się natychmiast. Co się z nią dzieje? Marzyła o całowaniu mężczyzny, który kombinował, jak wydrzeć jej ziemię?

- Dlaczego pan mi to mówi?

- Bo próbuje pani grać w nie swojej lidze.

Nie wiedziała, czy się obrazić, czy poczuć dumę.

- Daje mi pan rady z litości?

- Proszę schować dumę do kieszeni i przyjąć tę radę - rzekł. - To jedyna pomoc, na jaką może pani liczyć. Od tej chwili jest pani zdana na własne siły.

To nie ulegało wątpliwości. Lecz może, być może, ściągnięcie go na własny teren da jej wystarczającą przewagę, by odkryć jego słabość. Błysnęła jej myśl otwierająca fascynujące możliwości.

A jeśli jego słabością jest ona?

## ROZDZIAŁ DRUGI

W innych okolicznościach Joc pojechałby do Longhorn Ranch limuzyną z kierowcą, żeby popracować w drodze. Tym razem coś mu mówiło, że pokazanie się tam w takim wozie nie wypadłoby najlepiej, siadł więc za kierownicą własnego samochodu. Dojechał dokładnie na czas. W drzwiach powitała go starsza kobieta o skwaszonej minie. Założyłby się, że większość życia spędziła na roli. Obejrzała go od stóp do głów, zanim niechętnie wpuściła.

- Pan Arnaud, jak sądzę.

- Joc Arnaud. Uścisnęła mu mocno dłoń.

- Rosalyn jest w kuchni, kończy doprawianie posiłku. Powinna siedzieć nad księgami, ale od chwili gdy pana zaprosiła, czuła się w obowiązku stanąć przy kuchni. A tak na marginesie, jestem Claire, gospodyni Oakleyów.

Podał jej przywiezione wino.

- Mój udział w kolacji. Przyjrzała się butelce podejrzliwie.

- Czy to taki rodzaj, który musi pooddychać?

## **Noc fantazji**

**183**

-Po dwudziestu latach pod korkiem chyba będzie wdzięczne za taką możliwość - odparł poważnie. Prychnęła z rozbawieniem.

- Proszę dalej, pokażę drogę.

Idąc za nią na tyły rancza, rozglądał się dookoła. Było tu pięknie. Lśniące, drewniane podłogi, belkowane stropy, duże pomieszczenia w prostym układzie. Kuchnia robiła równie imponujące wrażenie: starożytne ceglane palenisko i żeliwny piec przemieszane z nowoczesnymi sprzętami. Rosalyn stała przy rzeźniczym pieńku, z wprawą siekając warzywa.

- Dokończę - powiedziała Claire tonem jasno deklarującym, że to jej królestwo i intruzi mają się wynieść. - Kolację podam za pół godziny.

Rosalyn z rozbawieniem zerknęła na Joca i podeszła do zlewu opłukać ręce.

- Dziękuję za pomoc, Claire.

- Zdaje mi się, że niezbyt jej się podoba perspektywa karmienia wroga? - spytał Joc, gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem głosu.

- Głównie nie lubi, gdy obcy kręcą się po jej kuchni. -Rosalyn otworzyła drzwi do przytulnego salonu, z małą sofą przed pachnącym hikorą kominkiem i licznymi butelkami z trunkami na srebrnej tacy. - Choć to spotkanie też uważa za błąd.

- Może mieć rację.

W wielu punktach. Przy pierwszym spotkaniu znajdo-

**Day Leclair**

wali się w biurze, oboje mieli na sobie robocze stroje, choć bardzo odmienne. Tutaj, w bardziej kameralnym otoczeniu, granice pomiędzy interesami a przyjemnością wyraźnie się zatarły.

Teraz miała rozpuszczone włosy, opadające poniżej ramion gęstą falą. Znoszone dżinsy zamieniła na beżowe spodnie, flanelową koszulę na prostą, kremową bluzkę. Skromny, złoty wisiołek podkreślał długość jej szyi i zwracał uwagę na rowek między piersiami. Delikatny makijaż uwypuklał zaskakujący, fiołkowy odcień jej oczu i pełne wargi. Aż proszące się o pocałunek.

- Skoro uważa pan to spotkanie za błąd, to dlaczego w ogóle zaproponował pan kolację?

Z trudem wrócił do rzeczywistości, usiłując się skupić. Był tu w interesach. Niezbyt dobrze wróżyło reszcie wieczoru, że musiał sobie o tym przypominać.

-Miałem nadzieję, że dojdziemy do porozumienia w nieco miłszym otoczeniu.

- W takim razie - wskazała tacę z trunkami - czego się pan napije?

- Single malt, jeśli ją pani ma.

- Oczywiście.

Coś w jej tonie zwróciło jego uwagę.

- Nie lubi pani whisky?

- Wręcz przeciwnie. - Nalała im drinki i dołączyła do niego przed kominkiem, podając szklaneczkę. - Bardzo ją sobie cenię, tylko przy rzadkich okazjach.

## Noc fantazji

185

- A jakie okazje uważa pani za godne tego drinka? -Szczerze go to zaciekawilo.
  - Rocznicę. - Drgnęła i na moment posmutniała. - Oraz kiedy siedzę nad księgami rancza.
- Jakie rocznice? Trzeba będzie jeszcze raz przejrzeć jej dossier i dokładniej pogrzebać w przeszłości, by odkryć, co ją kiedyś tak zraniło. Z rozmysłem utrzymał swój komentarz w lekkim tonie.
- Czyli księgowość nie jest pani ulubionym zajęciem?
  - Według mnie trzeba się przed nią bronić jak przed oblężeniem twierdzy. - Wzrok jej stwardniał. - Tak też należy postępować, mając do czynienia z panem.
  - Znam kilka podobnie myślących osób.
  - Naprawdę istnieją ludzie sprawiający panu kłopoty, panie Arnaud? Już ich lubię.
  - Moja siostra. I jest do pani podobna.
  - MacKenzie?
  - To moja przyrodnia siostra. Ten sam ojciec, różne matki. Czasem muszę się przez nią napić, ale z innych powodów. Na pewno też nie marnowałbym na nią dobrej whisky. Nie, miałem na myśli moją prawdziwą siostrę, Anę, i jej męża, albo raczej powinienem powiedzieć Jego Wysokość Księcia Landera Montgomeryego z Verdonii.
  - Rzeczywiście to nie moja liga.
- Wyciągnął nogi w stronę ognia i uśmiechnął się. Jego siostra także była ognistym rudzielcem, zaś szwagier to najbardziej opiekuńczy i honorowy człowiek, jakiego kiedy-

**Day Leclair**

kolwiek w życiu spotkał. Gdy Lander był zaręczony z jego siostrą, usiłował chronić jej reputację za wszelką cenę. Dla dobra Verdonii zrezygnował nawet z walki o tron.

- Oboje są bardzo podobni do pani. Prostolinijni. Mocno stojący na ziemi. Opiekuńczy. I oboje z radością drą ze mnie pasy za każdym razem, gdy sobie o mnie przypomną. Mieliśmy kilka interesujących starć.

- Hmm, myślałam, że pańska skóra jest zbyt gruba, by z niej drzeć pasy.

Odwróciła się i przyjrzała mu. Kosmyk włosów opadł jej na policzek. Zapragnął chwycić ją w ramiona i sprawdzić, czy smakuje tak samo, jak wygląda.

- Może powinnam się do nich zwrócić po poradę.

- Myślę, że radzi sobie pani świetnie sama. Bezwiednie sięgnął, by poprawić jej kosmyk włosów.

Kontakt czubków jego palców z jej policzkiem był prawie niezauważalny, ale jego własna reakcja zaskoczyła go kompletnie. Poczul falę gorąca, jakby skoczył głową naprzód do kominka.

Rosalyn wstrzymała oddech, czyli i ona coś poczuła. Patrzyła na niego z zaskoczeniem. Działał na nią, i to mocno. Usta jej zadrżały. Z trudem się powstrzymał przed pocałunkiem.

Jedno dotknięcie. Jedno zdawkowe, prawie nieintencjonalne muśnięcie. Gdyby się znajdowali gdzie indziej, wziąłby ją natychmiast i do diabła z konsekwencjami.

Co w niej takiego jest, że redukuje jego reakcje do po-

## Noc fantazji

187

ziomu najprymitywniejszych instynktów? Nigdy wcześniej, w ciągu trzydziestu czterech lat, nic takiego mu się nie przytrafiło.

Dopił whisky i popatrzył na nią twardo.

- Mamy kłopoty. Zdaje sobie pani z tego sprawę, prawda?

Rosalyn zadrzała. Ten dotyk obudził w niej rozwiązłość i żądzę. Dreszcze spłynęły jej z policzka wprost w dół brzucha. Ledwie dosłyszała, co powiedział potem. Niech to szlag! Mieli kłopoty.

Zerwała się i ściskając szklanę, popatrzyła na niego twardo.

- To się nie może powtórzyć.

- Jak pani zamierza temu zapobiec?

- Na początek dystans.

Uśmiechnął się, ujęty jej szczerością. Wstał i podszedł do barku odstawić szklanę.

- Lepiej teraz, gdy jestem po drugiej stronie pokoju?

- Tak. - Przeczesała palcami włosy. - Nie.

- Zgadzam się.

- Więc co teraz zrobimy?

Rozległo się pukanie do drzwi, a potem gromki głos Claire:

- Kolacja podana! Do roboty!

Joc podszedł do niej. Jakoś udało jej się ukryć kotłujące się w niej emocje. Tak bardzo pragnęła, by dotknął jej ponownie, że z trudem powstrzymywała drżenie.



**Day Leclair**

- Proponuję coś zjeść - odpowiedział na zapomniane już przez nią pytanie. - A co później, to już od pani zależy.

- Nic później nie będzie - rzuciła bez wahania. - Poza pańską podróżą tym luksusowym samochodem do Dallas.

- W takim razie żadne z nas nie ma. się czym martwić. Idziemy?

Przez chwilę przypominała sobie, w jakim celu zgodziła się na tę kolację.

- Obiecał mi pan swoją pełną uwagę i uczciwą szansę przekonania pana do zmiany decyzji w sprawie kupna mojego rancza.

- Dałem słowo i dotrzymam go.

Musiało jej to wystarczyć. Idąc do stołu, powtarzała w myśli plan działania. Należała do osób grających w otwarte karty, bez ogródek więc powie mu, dlaczego odmawia sprzedaży. Spróbuje jednak przy tym wykryć jakąkolwiek jego słabość, którą mogłaby wykorzystać. Na razie jedyne, co dostrzegła, to siebie i łóżko. Choć była to niezmiernie pociągająca perspektywa, nie była aż tak głupia, by się w to pchać. Nie, przez najbliższą godzinę czy dwie musi wymyślić, jak sobie z nim poradzić i wygrać tę wojnę.

- Miło tu - pochwalił, gdy weszli do jadalni.

Mimo jego pozytywnych uwag nie mogła się powstrzymać przed patrzeniem na swój dom jego oczami. Jakże prowincjonalna musiała mu się wydawać jej siedziba. Prosty, drewniany stół nakryty najlepszym lnianym obrusem jej matki, zastawiony porcelaną w róże po babci oraz prosta

## Noc fantazji

189

pieczeń z warzywami z domowego ogródka. Jak coś takiego miało zadowolić podniebienie nawykłe do pięciogwiazdkowych restauracji?

- To wcale nie jest zabawne.

- Czy usprawiedliwia się pani ze swojego stylu życia? Jeśli tak, potrafię temu łatwo zaradzić.

Trafił w dziesiątkę, zaciśnęła pięści. Nie ma się czego wstydzić, absolutnie.

- Nie, dziękuję, jestem zadowolona z tego, co mam.

- A już miałem nadzieję, że panią mam.

- Mowy nie ma.

Usiadła u szczytu stołu, on po jej prawej stronie. Pozwoliła mu w spokoju zjeść pierwsze danie: sałatkę, którą szykowała, gdy przyjechał.

Do interesów przystąpił po głównym daniu.

- Możemy teraz przedstawić nasze stanowiska, czy woli pani poczekać do wieczora?

- Skoro to moja jedyna szansa na przekonanie pana, zacznijmy negocjacje. - Odsunęła talerz. -

Zacznijmy od najprostszych rzeczy. Dlaczego chce pan kupić moje ranczo?

- Znajduje się niemal pośrodku posiadanego przeze mnie terenu - odpowiedział natychmiast.

- Kupionego przez pana w ciągu ostatniego roku.

- Wcześniej nie był dostępny. Czy termin nabycia przeze mnie ziemi ma znaczenie?

- Nie. Ważne jest natomiast to, że stracił pan czas i pieniądze, bo nie ma pan szans na przejęcie mojego rancza.

**Day Leclair**

Ku jej frustracji tylko wzruszył ramionami.

- Czas pokaże.

Claire wniosła deser, a Rosalyn aż się gotowała w środku z powodu jego obojętności na jej ciągłe odmowy.

- Proszę mi to wyjaśnić, panie Arnaud. Dlaczego kupuje pan ten konkretny kawałek Teksasu?

Dlaczego panu na nim zależy, skoro może pan bez trudu mieć dowolny inny kawałek świata? Czy moja ziemia ma jakieś znaczenie historyczne? O to chodzi? O pańskie dziedzictwo kulturowe? O co? Najwyraźniej zadała niewłaściwe pytania, bo twarz mu skamieniała.

- A dlaczego miałyby mnie to obchodzić?

- Proszę nie udawać głupka! - Z trudem powstrzymywała wściekłość. - Wie pan, o co pytam. Dla pana ta ziemia jest jedynie własnością. Chce pan ją mieć, to ją pan sobie bierze. Dla mnie ma o wiele bardziej osobiste znaczenie. - Pochyliła się, głos miała pełen pasji. - To część mnie samej. Moje dziedzictwo, podstawa tego, kim jestem i skąd pochodzę.

- To kłamstwo przekazywane przez Oakleyów z pokolenia na pokolenie. Człowiek nie jest ziemią. Żyje tylko na niej przez krótką chwilę. Za sto, dwieście lat to, co się w tej chwili tu dzieje, nie będzie miało żadnego znaczenia. Nikt nie będzie tego pamiętał. Pojawiliśmy się na chwilę i znikniemy. Tylko ziemia pozostanie. To proch, moja droga. Nic więcej niż hektary pyłu.

- Nie możesz w to wierzyć.

## Noc fantazji

191

- Obiecałem prawdę i dotrzymuję słowa. Zakładam, że wiesz o moim nieślubnym pochodzeniu, toteż zapewne naturalne jest dla ciebie przypuszczenie, że chcę mieć twoje ranczo, bo tkwi w nim jakaś historia, albo z powodu korzeni czy dziedzictwa, które sobą reprezentuje.

- Na pewno nie o to chodzi?

- Ani trochę. Ile lat ta ziemia jest w posiadaniu twojej rodziny? Sto? Dwieście? Gdyby mi zależało na korzeniach i dziedzictwie, pojechałbym do Europy i z łatwością wzenił się w ród o wiele bardziej starożytny niż jakikolwiek w Stanach. Gdy odwiedzałem siostrę w Verdonii, miałem wiele okazji. Związki, które dałyby mi tytuły, korzenie i wielowiekowe tradycje, gdybym tylko tego chciał - mówił z pełną pasją pogardą i zimną goryczą. - Ale nie chcę.

- Musisz sobie jednak zdawać sprawę, że jest to istotne dla innych - zaprotestowała. - Kupiłeś dom własnej rodziny. Słyszałam, jak rozmawiałeś o tym z MacKenzie. Zachowanie w całości ziemi Hollisterów musiało mieć dla ciebie jakieś znaczenie, bo nie wykupiłbyś jej i nie odmawiał teraz sprzedaży.

- Moja stopa nie powstała na tej ziemi i nigdy nie postanie.

- Nie chcesz jej dla siebie, ale nie pozwolisz Hollisterom jej odzyskać?

- Mam swoje powody. - Coś w jego oczach ostrzegło ją, że lepiej zmienić temat. - Zauważyłem, że niektórzy ludzie pozwalają, by ich stan posiadania definiował, kim są.

**Day Leclair**

To iluzja. Jesteś ostatnią z rodu Oakleyów. Kiedy wyjdiesz za mąż i będziesz miała dzieci, nie będą Oakleyami. Będą nosić inne nazwisko. A jeśli sprzedasz ranczo albo je... stracisz? Czy mieszkanie na ziemi Oakleyów definiuje, kim jesteś? A jeśli ją opuścisz, czy będziesz kimś innym?

- To moja ziemia - odparła. - Nie możesz mnie zmusić do rezygnacji z niej ani do jej sprzedania, jeśli tego nie; zechcę.

- To prawda. Lecz w którymś momencie trafię na coś, czego pragniesz bardziej niż swojej ziemi, tak jak było z Meredith Hollister. Wtedy ją sprzedasz.

- O nie. Błędem z twojej strony było wykupienie otaczających terenów bez pewności, że ja jestem gotowa do sprzedaży. To zwyczajnie kiepski interes, pierwszy w karierze wielkiego Joca Arnauda. Zaskoczył ją potakującym skłonieniem głowy.

- Teren wokół twojego rancza znienacka pojawił się na rynku i musiałem działać bardzo szybko. Powiedziano mi, że nie tylko zgadzasz się na sprzedaż, ale wręcz ci się spieszy. W przeciwnym razie w ogóle bym w ten interes nie wszedł.

- Ci twoi dwaj mięśniacy, którzy od roku mnie nękali... Okłamali cię? - Potrząsnęła głową. - Bardzo odważnie.

Kiedy zobaczyła jego wzrok, przeszedł ją dreszcz.

- Raczej głupio niż odważnie. Poza tym moi byli pracownicy już nie będą cię nachodzić.

Postanowiłem osobiście się zająć przekonaniem cię do sprzedaży.

Boże dopomóż...

## Noc fantazji

193

- Tak z ciekawości, gdybym sprzedała ci Longhorn, co by powstało na jego miejscu?

Zawahał się. Dolał im wina, zanim odpowiedział.

- To nie jest informacja do publicznej wiadomości, ale ty chyba powinnaś wiedzieć. Buduję kompleks dla różnych swoich korporacji.

- Jaki kompleks? - Spojrzała na niego z niechęcią.

- Wielki - przyznał. - Oprócz biurowców znajdą się tu przedszkola, ośrodki wypoczynkowe, medyczne, sportowe i kafeterie. Może nawet kino czy dwa. Zamierzam też zbudować kompleksy apartamentów dla pracowników chcących piechotą chodzić do pracy.

Oszłomiona pociągnęła długi łyk aromatycznego pinot noir. Najwyraźniej zamierzał zbudować małe miasteczko. Słyszała o firmach komputerowych czy internetowych robiących coś takiego, i skala przedsięwzięcia robiła na niej wrażenie. Tylko że tamte powstawały w bezpiecznej odległości, a nie, do diabła, na jej własnym podwórku.

- Poważne plany. - W dodatku na pewno opracowywane od lat. W takim razie praktycznie nie miała szans na zmianę jego zamiarów. - Nic dziwnego, że chcesz sobie kupić spory kawałek Teksasu.

-1 właśnie dlatego zrobię wszystko, byle go mieć. - Pochylił się ku niej z uśmiechem. - Teraz, kiedy już wiesz, jakie mam plany i jak mi zależy na kupnie twojej własności, znalazłaś się na uprzywilejowanej pozycji. Niewiele osób

**Day Leclair**

może powiedzieć coś takiego, negocjując ze mną. Podaj swoją cenę. Jaką tylko chcesz, a ja ją zapłacę.

- Wciąż nic nie rozumiesz... - Wskazała jego talerz. - Nie jesz już? - Gdy potwierdził, odsunęła się od stołu. - Chodź, chcę ci coś pokazać.

Ruszyła korytarzem, lecz po kilku krokach jej obcas wplątał się w cienki dywan. Gdyby Joc nie podtrzymał jej w ostatniej chwili, spadłaby z kamiennych schodków prowadzących do znajdującego się niżej salonu.

- Nic ci nie jest? - spytał.

Znow się dotykali, a przysięgła sobie, że to się już nie zdarzy. Czuła, jak Joc drży, zupełnie tak samo jak ona.

- Wciąż zapominam poprosić któregoś z chłopców, żeby to przybił. - Brakowało jej tchu.

- Daj to na początek listy spraw do załatwienia, bo następnym razem może mnie nie być pod ręką.

Wyśliznęła się z jego uchwytu, wyszła z domu i skierowała się do jeepa zaparkowanego pod daszkiem stodoły. Gdy uruchamiała silnik, zajął miejsce pasażera. Zwolniła sprzęgło, jeep szarpnął jak nieujędzony mustang i zgasł. Zapaliła ponownie i ruszyła przez błoto po wczorajszej ulewie.

Pojechali polną, pełną kolein drogą w głąb posiadłości Oakleyów pomiędzy pastwiskami pełnymi bydła, między innymi longhornów, od których ranczo brało nazwę. Kierowała się w stronę starego domu, gdzie się wszystko zaczęło, w nadziei, że to miejsce powie mu to, czego słowa

## Noc fantazji

195

nie zdołały. Zredukowała bieg. Szlak skręcał ostro, wzięła zakręt poślizgiem.

Jeep zgasł jej już bardzo blisko starej, jednoizbowej chaty. Rosalyn siedziała chwilę w milczeniu, czekając, aż Joc się rozejrzy.

- To pierwotna siedziba rodziny Oakley. Moi przodkowie wzniesli ją z kamieni rzecznych.

- Potrafisz sobie wyobrazić rozpoczynanie życia w dziczy, mając tylko te cztery ściany do ochrony przed żywiołami? - Spojrzał na nią z uznaniem. - Odważni ludzie.

- Właśnie od nich pochodzę, Joc. Od ludzi, którzy zbudowali sobie dom z niczego. Którzy stawali twarzą w twarz nie tylko z żywiołami, ale i z wojną, i z waśniami dotykającymi ich przez paręset minionych lat.

Zachodzące słońce pomalowało kamienie zwodniczo delikatnym różem. W tym tajemniczym świetle nawet otaczający dom rozpadający się płot sprawiał wrażenie raczej wymyślnej rzeźby niż ruiny.

Wysiadła i okrążyła dom. Joc poszedł za nią w milczeniu. Doszli do niewielkiego cmentarzyka w pobliżu chaty.

Od prawie dwustu lat Oakleyów chowano pod opieką wysokich topoli. Powoli przeszedł się pomiędzy grobami. Najbardziej przejmujący był rząd pięciu najświeższych. Cztery - dziadka Rosalyn, jej rodziców i pięcioletniego brata - pochodziły sprzed dziesięciu lat, piąty - babci - sprzed roku.

- Rocznicę - mruknął ponuro. - To są rocznice, które świętujesz szklaneczką whisky.



196

## Day Leclair

-Tak.

- Co się stało?

Przykucnęła przy grobach i usunęła z nich kilka chwastów wyrosłych od ostatniej wizyty przed kilkoma dniami.

- Wypadek lotniczy, gdy byłam w maturalnej klasie.

- A ty? - W jego głosie nie słyszała emocji, ale wyczuła je, a przede wszystkim, ku swemu zdumieniu, wyczuła troskę. - Też byłaś na pokładzie?

- Nie, rozchorowałam się i zostałam z babcią w domu. Gdyby nie to... - Wzruszyła ramionami. - Nie byłoby dzisiejszego spotkania, a ranczo sprzedano by wiele lat temu.

- Boże, tak mi przykro. A ja sądziłem, że miałem ciężki okres dojrzewania.

- Musisz coś zrozumieć, Joc. Kiedy moja rodzina zginęła, wraz z nimi umarła duża część mnie. Do wypełnienia tej pustki miałam tylko to ranczo i babcię. Szybko zdałam sobie sprawę, że mogę albo się poddać, albo wziąć się w garść.

- Zrobiłaś to drugie.

Skinęła głową i zatoczyła ręką łuk.

- Widzisz to wszystko dookoła? Oto moje dziedzictwo. Odpowiadam za nie. To taka sama część mnie jak krew i kości. Moje ciało. Część tego, kim jestem. Przysięgłam umierającej babci, że zrobię wszystko co w mojej mocy, by je chronić, i zrobię to. - Wstała, ocierając ziemię i trawę z dłoni. - Chcesz mojej ziemi, Joc. No cóż, jestem jej nieodłączną częścią. Nie zdołasz mnie od niej odseparować, wyrwać moich korzeni ani zerwać więzi łączącej mnie z każdą

## Noc fantazji

197

z dusz na tym cmentarzu. Nie sprzedam, i to moje ostatnie słowo.

W świetle zachodzącego słońca Joc stał nieruchomo, z pełnym determinacji wyrazem twarzy, na widok którego przeszedł ją dreszcz.

- Chyba już wszystko zostało powiedziane - powiedział wolno.
- Czyli zostawisz mnie w spokoju? Patrzył na nią długą chwilę w milczeniu.
- Prosisz o zbyt wiele. Nie zostawię cię w spokoju. Nie mogę.
- Jak możesz myśleć, że kiedykolwiek sprzedam ci farmę? Choć przez chwilę...
- Nie mówię o twoim ranczu. To ciebie nie mogę zostawić.

Kilkoma długimi krokami pokonał dzielący ich dystans i chwycił ją w ramiona. Ich usta pasowały do siebie, jakby mieli za sobą wiele pocałunków. Czują, że powinna się wycofać, ale pragnęła każdej następnej sekundy tej rozkoszy. Powinna walczyć o wydostanie się z jego objęć i zakończyć tę farsę, ale nie chciała. Ku swemu zawstydzeniu oddała pocałunek. Gdyby była całkiem szczerą wobec samej siebie, powinna przyznać, że w głębi duszy chciała, by Joc ją posiadał. Mała resztką rozsądku, jaka jej została, krzyczała wniebogłose, jaką cenę przyszłoby jej zapłacić, gdyby się oddała temu mężczyźnie. Z okrzykiem zgrozy odskoczyła o kilka kroków.

198

### Day Leclair

- Powiedz mi, jak mamy teraz pójść własnymi drogami? - zapytał.
  - Nie mogę... Ja nie... - Potrząsnęła głową. - Nie uwiedziesz mnie, żeby wydrzeć mi ranczo.
  - To nie ma nic wspólnego z twoją posiadłością - zaprzeczył gwałtownie. - Chodzi o to, co jest pomiędzy nami.
  - Nie ma nas. To nic więcej niż... - przerwała, mając nadzieję, że zapadający zmierzch ukryje jej zmieszanie.
  - Seks? - odpowiedział z rozbawieniem.
  - No dobrze. Tak. To nic więcej niż seks. A ja nie pozwolę ci go użyć do odebrania mi rancza.
  - Nie rozumiesz. Zmieniłem zdanie. - Dwa kroki i znów stał tak blisko, że mógł jej dotknąć. - Już nie tylko o ranczo mi chodzi.
  - To czego teraz chcesz?
- Wiedziała. Jakaś najbardziej kobieca część jej duszy знаła odpowiedź, jeszcze zanim zadała pytanie.
- Ciebie.

## ROZDZIAŁ TRZECI

- Nie ma mowy. Moje rancho nie jest na sprzedaż, nieważne, co zaoferujesz. - Ze słów i twarzy Rosalyn emanowała czysta pasja. - Ja też nie.
- Nie śmiałybym cię obrazić taką sugestią. Lecz pragniesz mnie tak samo jak ja ciebie. Zaprzecz, jeśli dzięki temu lepiej się poczujesz. Walcz z tym, jeśli chcesz. Ale w końcu żadne z nas nie zdoła się oprzeć. Mam propozycję, która powinna rozwiązać ten nasz mały problem.
- Odejdiesz i zostawisz mnie w spokoju?
- Za późno, moja droga. Z własnej woli przekroczyłaś mój próg. Nie wiń mnie, że nie chcę cię wypuścić.
- Mogę odmówić. - Potrząsnęła głową, by oczyścić myśli. - To znaczy, odmówię.
- Mam ogromną nadzieję, że to zrobisz. Wszystko będzie o wiele prostsze. - Spoważniał. - Jedna noc. Jedna noc razem i powinniśmy zdołać zaspokoić pożądanie, które jest między nami.
- O czym ty mówisz?
- Jutro wyjeżdżam na krótko. Jedź ze mną. Żadnych

**Day Leclair**

rozmów o ranczu. Żadnych negocjacji. Żadnych związków. Tylko ty, ja i jedna romantyczna noc.

- Nie mówisz poważnie - wykrztusiła prawie bez tchu. Odpowiedział uśmiechem.

- No cóż... jeśli nalegasz na negocjacje na temat transakcji, nie będę się bronił. Lecz wolałbym się skupić na przyjemnościach i odłożyć interesy na inny termin. Co powiesz na to?

- Że to szaleństwo.

- Zgadzam się. No i co z tego? Zaszalejmy razem. Jedź ze mną, Rosalyn. Nie pożałujesz, obiecuję. Kusilo ją, och, jak kusilo. Ja jestem jego słabością, uświadomiła sobie znieczeka. Podejrzenie zmieniło się w pewność. Lecz już wcześniej uznała, że nie da się tego wykorzystać.

-Nie mogę - zmusiła się do uczciwości. - Nie zrobię tego.

- Nigdy jeszcze nie spędzałaś z kimś tylko jednej nocy, prawda?

- Nie, i uważam, że wyjątkowo głupio byłoby zaczynać to z tobą.

- Czy jest coś, co mógłbym powiedzieć lub zrobić, żeby zmienić twoją decyzję? Na przykład zrezygnować ze starań oranczo?

- To wcale nie jest śmieszne. Nie załatwiam interesów w taki sposób i nigdy nie będę.

Najwyraźniej ucieszyła go ta odpowiedź.

## **Noc fantazji**

**201**

- Miałem nadzieję, że to powiesz.

Nie podobał jej się kierunek, w jakim zmierzała rozmowa. Czas ją zakończyć.

- Ściemnia się, wracajmy.

Odwróciła się na pięcie, doszła do samochodu i w tym momencie Joc sięgnął spoza niej, by otworzyć przed nią drzwiczki.

- Obraziłem cię i przepraszam za to. Jestem przyzwyczajony do świata, w którym ludzie żyją według planów w większości starannie ukrywanych. Nie mogę ufać niczemu co widać. Bezustannie muszę zaglądać pod powierzchnię, by odkryć prawdziwe motywacje.

- Ja jestem inna - warknęła, nie odwracając się. -Wszystko masz jak na dłoni.

- Zaufanie komuś przychodzi mi z trudem. Tym razem się odwróciła.

- Bardzo się mylisz, Joc. Rzecz nie w tym, że masz trudności z zaufaniem ludziom. Ty w ogóle nikomu nie ufasz.

- Może tobie bym potrafił.

- Bardzo wątpię. Zawsze byś się zastanawiał, czy nasz związek nie jest moją metodą ochrony rancza.

Dlatego proponujesz jedną noc. Masz nadzieję, że przestaniemy czuć taki pociąg do siebie i będzie można nasze relacje z powrotem sprowadzić do interesów.

Zaimponowała mu.

- Moja droga, marnujesz się na roli. Powinnaś pracować ze mną.

**Day Leclair**

- Nie, dziękuję. - Wśliznęła się za kierownicę. - Jedziemy. Zabawiliśmy się, czas wrócić do roli wrogów.

Dojechali do domu w milczeniu. Podszedł do nich Duff, jeden z pracowników.

- Przepraszam, panno Rosalyn. Jutro rano jadę z pocztą do miasta, więc jeśli miałaby pani tam dla mnie jakieś zadania. ..

- Tak Dziś wieczorem będę siedziała nad księgami, więc jeśli z samego rana wpadniesz do domu, dostaniesz listę i rachunki do wysłania. Upewnij się też, że spłata hipoteki pierwsza znajdzie się w skrzynce.

- Jasne. - Dotknął róna kapelusza, żegnając się z obojgiem, i skierował się do baraku.

- Z twojej miny wnioskuję, że szklaneczka whisky będzie dziś w robocie - odezwał się Joc, gdy Duff się oddalił.

- Całkiem możliwe. Wiosenne cielenie się spowodowało, że zaniedbałam wszystko oprócz płacenia rachunków. - Skrzywiła się. - Nie pamiętam, kiedy ostatni raz robiłam bilans.<sup>1</sup>

- Porada od kogoś, kto się na tym dobrze zna: lepiej unikać takich sytuacji.

- Dziękuję.

- A ja dziękuję za kolację. Jeśli zmienisz zdanie co do jutrzejszego wyjazdu, przyślę samochód na ósmą.

- Kuszące, ale nie skorzystam.

- Nie musisz nic ze sobą brać, Rosalyn. Tylko przyjeźdź.

## **Noc fantazji**

**203**

Ja się wszystkim zajmę. Całe życie ciężko pracowałaś. Pozwól mi dać ci jedną noc czystej przyjemności. Prawie. Prawie się złamała. Opanowała się jednak.

- Jedź już, proszę.

Pochylił głowę tak, że niemal muskał jej wargi swoimi.

- Przyjedź, proszę. - Poczwała te słowa na wargach jak ciepłą bryzę, pełną egzotycznych woni i smaków. - Zrób to. Mój samochód będzie tu jutro o ósmej. Jeśli zdecydujesz się ze mną pojechać, obiecuję, że spędzimy razem noc, której żadne z nas nie zapomni.

I zniknął. Stała w gęstniejącym mroku, marząc, jak by to było przeżywać z Jokiem Arnaudem noc czystej rozkoszy.

Dokładnie o ósmej rano następnego dnia Rosalyn rozsiadła się na skórzanym tylnym siedzeniu luksusowej limuzyny Joca, wyzywając się raz po raz od skończonych kretynek.

Dlaczego to robi? Najwyraźniej zwariowała. Przez czterdzieści minut jazdy na spotkanie z Jokiem starannie unikała roztrząsania swojej głupoty, zmuszając się do niemyślenia o niczym.

- Pierwszy raz? - spytał Joc, wsiadając. Aż podskoczyła.

- Co? A, w limuzynie? Tak.

- Nie spodziewałem się, że przyjedziesz. - Przekrzywił głowę. - Ile czasu zajęło ci podjęcie decyzji?

- Od chwili gdy wczoraj odjechałaś, do momentu gdy, nie wiem dlaczego, podeszłam do limuzyny i wsiadłam.



**Day Leclair**

Zanim to zrobiła, miała najszczęśliwy zamiar odprawić przysłany samochód. Teraz już tylko mogła w duchu kląć na własną głupotę.

- Po prostu pożegnałam się z Claire, powiedziałam, że zobaczymy się jutro i żeby dowodziła fortem w czasie mojej nieobecności.
- Jak rozumiem, wyszłaś, zanim zdążyła zabarykadować drzwi i przywiązać cię do krzesła.
- Mniej więcej.
- A teraz opadły cię poważne wątpliwości.
- Zdradziły mnie dreszcze czy brak tchu?
- Nie bój się, będę delikatny.
- Zdaje mi się, że właśnie to powiedział Zły Wilk tuż przed zjedzeniem Czerwonego Kapturka - mruknęła w odpowiedzi.

Została nagrodzona wybuchem śmiechu. Pochylił się i zdjawszy jej kapelusz, rzucił go na siedzenie naprzeciwko. Poczowała się nieprzyjemnie odsłonięta, a, kontrast znoszonego stetsona z luksusowym obiciem uraził jej zmysł estetyki.

- Takiego widoku raczej się nie spodziewałam. Pasuje jak kwiatek do kożucha, nieprawdaż?
- Nawet nie wiesz, jak z czasem wszystko do wszystkiego da się dopasować. Potrafię to udowodnić, ale może to zająć więcej niż jedną noc.
- Dziękuję, raczej nie.

Dwadzieścia minut później dotarł na prywatne lotnisko.

## Noc fantazji

205

Limuzyna podjechała do małego odrzutowca. Już w samolocie, przypięta do wygodnego siedzenia, rozpaczliwie szukała jakiegoś zagajenia, które nie miałyby nic wspólnego z planami Joca na najbliższą noc.

- Dokąd lecimy? - spytała w końcu.

- Na małą wyspę między Zatoką Meksykańską a archipelagiem Karaibów zwaną Isla de los Deseos.

- Nie sądziłam, że to będzie aż tak daleko.

Skinął na stewardesę i niemal natychmiast dostali po filiżance kawy.

- Obiecałem ci romantyczny wieczór i taki będzie. Ten odrzutowiec został zaprojektowany z myślą o szybkości. Na Deseos będziemy za kilka godzin. A na razie rozluźnij się, masz kilkanaście filmów do wyboru, bogatą bibliotekę i stos czasopism. Kiedy ostatni raz zrobiłaś sobie przerwę w pracy?

Patrzyła na niego bez słowa. Nie musiała nic mówić.

- Najwyraźniej nie uznajesz urlopów? - upewnił się.

- Mam ranczo - odpowiedziała, jakby to wyjaśniało wszystko.

- Masz pracowników. A może w twoim słowniku nie ma wyrażenia: delegacja obowiązków?

- Gdzieś jest. Po prostu nie mogę... - przerwała, szybko unosząc filiżankę do ust.

Wiedział, co zamierzała powiedzieć. Nie mogła sobie pozwolić na podział odpowiedzialności.

Zaskoczyło go, jaką troskę poczuł, słysząc to wyznanie.

**Day Leclair**

- Odchyl oparcie i rozluźnij się. Przed lądowaniem muszę z godzinę popracować.

Ku jego zaskoczeniu posłuchała. Kiedy ponownie na nią spojrział, spała smacznie. Z trudem się zmusił do powrotu do pracy i sprawdzania szczegółów współpracy, którą miał zakończyć jutro rano. Lecz cały czas przed oczami stał mu obraz śpiącej dziewczyny. W dodatku czuł pożądanie. Narastające, zagrażające utratą kontroli, a co za tym idzie wszystkiego, co chciał osiągnąć.

Rosalyn ocknęła się tuż po lądowaniu. Patrzył, jak się otrząsa z sennego ośpienia. Miał wrażenie, że w pierwszej chwili nie mogła się zorientować, gdzie jest, czy to noc czy dzień ani jak się tu znalazła. Odwróciła głowę i zobaczyła go, wpatrującego się w nią, jakby widział najbardziej interesującą kobietę na świecie. Natychmiast wzniosła wszystkie bariery.

- Właśnie wylądowaliśmy na Isla de los Deseos - oznajmił. - Przylecieliśmy odrzutowcem, jest pierwsza po południu, czwartek. Czasu Dallas, nie lokalnego. Zgodziłaś się spędzić ze mną noc, czego, jestem pewien, teraz żałujesz.

- Dzięki. Znakomicie wypełniłeś luki w mojej pamięci - powiedziała formalnym tonem, a mimo to jej głos poruszył w nim coś.

- Chyba byłaś zmęczona. - Wstał. - Zbyt ciężko pracujesz.

- Skąd możesz to wiedzieć? - Machnęła ręką. - Nieważ-

## Noc fantazji

207

ne. Znając ciebie, przeprowadziłeś szczegółowe śledztwo na mój temat.

- Głodna? - spytał.

- Jak wilk.

- W takim razie zaprowadzę cię do naszego pokoju i coś przekąsimy.

Poszła za nim. Panował wilgotny upał, nieco tylko lżejszy niż w Dallas, choć było tu zupełnie inaczej. Był ciekaw, czy to spostrzegła. Z jakichś powodów wisząca w powietrzu wilgoć tu sprawiała wrażenie delikatnej mgły osiadającej na skórze, a nie mokrej, dławiącej ścierki. Odetchnęła głęboko. Skinął głową, gdy wydała cichy okrzyk zachwyty.

- Inaczej, prawda?

- Przemięło i... egzotycznie. Czy to zasługa kwiatów?

- Kwiatów, soli w powietrzu, przypraw. Powoli działa na każdego, zmusza do relaksu.

W kurorcie boy zaprowadził ich wprost do dużego zespołu połączonych korytarzami pokoi obok głównego budynku. Znajdował się na porośniętym bujnymi paprociami wzniesieniu, skąd roztaczał się zapierający dech w piersiach widok na ocean po jednej stronie i las deszczowy po drugiej. Miejsce było bajkowe, w sam raz na relaks i poddanie się fantazjom.

- Zamówiłem lunch. Zjemy na dole, przy lagunie. - Wskazał jeden z głównych korytarzy. - W sypialni na końcu znajdziesz wszystko, co ci potrzebne. Kostium kąpielowy powinien pasować. Przebierz się i idziemy.

**Day Leclair**

Poszło jej szybko. Pojawiła się, gdy wrzucał butelkę lodowatej wody mineralnej do koszyka. Miała na sobie szmaragdowy kostium, w pasie przewiązała się podobnej barwy apaszką o kwiatowym wzorze. Stetsona zastąpiła słomianym kapeluszem o szerokim rondzie i włożyła okulary przeciwsłoneczne. W ręce niosła butelkę balsamu ochronnego.

- Udało mi się posmarować wszędzie oprócz pleców. Mógłbyś?

Podejrzewał, że nie spodobałoby jej się, gdyby próbował zmienić zwykłą przysługę w grę wstępną, a sądząc po jej minie właśnie tego się spodziewała. Wycisnął porcję balsamu na jej plecy i starannie, beznamiętnie rozprowadził. Odprężyła się, gdy się okazało, że nie zamierza się do niej dobierać - czyli taktyka była właściwa. Rosalyn może i zdecydowała się wziąć udział w tym małym wypadzie, jednak rozsądniejsza część jej osobowości wciąż roztrząsała potencjalne katastrofalne skutki tego posunięcia. Widział, że go pragnęła, i właśnie ten drobny fakt kompletnie zbijał ją z tropu.

- Czy to jedno z hotelowych pomieszczeń? - spytała, gdy opuścili kompleks i skierowali się na plażę.

- Rezydencja właściciela.

- Powinam się była domyślić. - Spojrzała na wodę. - Ależ tu pięknie.

Śnieżnobiały piasek, upstrzony gdzieśgdzie skorupami orzechów kokosowych, otaczał lagunę o krystalicznie czystej wodzie. Wokół plaży rosły palmy, dzielnie broniąc laso

## Noc fantazji

209

wi deszczowemu wstępu na wybrzeże. Kilka się wylało, tworząc niewielką kępę bliżej wody. Ktoś rozpiął pomiędzy nimi hamaki.

Rosalyn rzuciła na jeden z nich kapelusz i ręcznik, uśmiechnęła się przez ramię i długimi krokami pobiegła do wody. Dołączył, dopasowując tempo do niej. Dwadzieścia minut później zatrzymała się.

- Nie dam już dłużej rady. Muszę coś zjeść.

- To się da załatwić. - Wyciągnął ją za rękę z wody. - Jak na kogoś spędzającego całe dnie na dworze, słabo jesteś opalona.

- Odziedziczyłam karnację po mamie. - Zatrzymała się na brzegu, by wycisnąć wodę z włosów przed odrzuceniem ich na plecy. - Praktycznie odkąd pamiętam, razem z babcią wbijały mi do głowy, jak ważna jest troska o skórę.

- Bystre damy.

- Owszem, były takie.

- Przepraszam - rzekł ze skruchą. - Chciałem, żeby było romantycznie, nie smutno.

- W porządku, przeżyję.

Podeszła do hamaka i ułożyła się w nim zgrabnie. Wierciła się chwilę, przeciągając się jak kot. Miała sylwetkę rzeźbioną niewątpliwie latami pracy na ranczu.

- Okej, Arnaud. Nakarm mnie, zanim padnę z głodu.

- Mam coś, co powinno zaspokoić każdy rodzaj naszego apetytu.

W trakcie posiłku podtrzymywał rozmowę, przyglądając

**Day Leclair**

jej się uważnie. Była jedną z najbardziej intrygujących i najpiękniejszych kobiet - nieodpartą pokusą. Niestety, równocześnie źródłem poważnego dylematu.

Czas stawić czoło faktom. Zbliżała się wojna o ranczo. Całkowicie niespodziewana. Zamierzał ją jednak wygrać, choć na pewno będzie to i niełatwe, i wymagające bardzo starannego planowania. O tak, wojna nadciągała. Wiedział też, bez najmniejszych wątpliwości, gdzie się odbędzie rozstrzygająca bitwa.

W łóżku.

Popołudnie okazało się jednym z najurokliwszych, jakie w życiu miała. Joc starał się, jak mógł, by jej zapewnić wszelkie możliwe przyjemności: jedzenie, drinki i ocean. Długo rozmawiali, przyglądając się słońcu zbliżającemu się do horyzontu. Gdy już było nisko, na niebie zaczęły się pojawiać takie barwy, że aż łzy stanęły jej w oczach.

Wtedy dopiero zdała sobie sprawę, że już od dawna rozmowa dotyczy jej samej i jej zarządzania ranczem po niespodziewanej śmierci rodziców. Za to ona nie dowiedziała się nic na temat Joca i jego historii.

-Powiedziałeś, że miałeś traumatyczne dzieciństwo. Mogę spytać, co się stało?

- Nie sądzę, żebym mógł dodać cokolwiek nowego do treści licznych artykułów prasowych.

- Jeśli nie chcesz mi nic powiedzieć, zrozumieć to. Sama nieczęsto opowiadam o śmierci rodziców czy brata.

## Noc fantazji

211

- Ana i ja nie cieszymy się takimi związkami z Holliste-rami, jakie ty miałaś z rodziną - powiedział z nutą znużenia. - Oni gardzą nami tak samo jak my nimi.
  - Nie są temu wszystkiemu bardziej winni niż ty i twoja siostra. Tylko jedna osoba jest odpowiedzialna za tę całą tragedię.
  - Świetnie zdaję sobie sprawę, że to mój ojciec jest odpowiedzialny za moje narodziny. Wyraźnie usłyszała ostrzeżenie, że powinna się wycofać, zaufała jednak instynktowi.
  - Wcale nie jestem pewna, czy ktokolwiek z was to sobie uświadamia. W przeciwnym razie nie byłoby tej wrogości. - Delikatnie musnęła koniuszkami palców jego twardą pierś. - Jaki był twój ojciec?
  - Boss był... czarujący. Arogancki. Błyskotliwy.
  - To brzmi znajomo...
  - Nie ty pierwsza robisz takie porównanie. Moje fizyczne podobieństwo do niego też nie pomaga.
  - A ty tego nienawidzisz.
- Zamilkł na długo, a potem zaczął mówić głosem pełnym bólu.
- Najbardziej boli mnie, że mam podobny do niego charakter. Tak niewiele brakowało, bym się stał taki jak on. Zmarł w więzieniu. W pewnej chwili sądziłem, że sam tam umrę, jak on.
- Uniosła się na łokciu i popatrzyła na niego z konsternacją.



**Day Leclair**

- Jak to? Jak to się stało, że niemal podzieliłeś jego los?

- Miałem dziesięć lat - zaczął po długim milczeniu - kiedy odkryłem, że ojciec miał dwie rodziny. Zobaczyłem program o nim w telewizji. Pozował do kamery, otaczając ramieniem żonę, a czwórka uroczych dzieci stała przed nimi.

- Wcześniej o tym nie wiedziałeś? - Była zszokowana. - Matka nigdy ci nie powiedziała?

- Weszła do pokoju w chwili, gdy MacKenzie odpowiadała na jakieś pytanie dotyczące szkoły.

Byliśmy w tej samej klasie i nie mogłem pojąć, jak to możliwe. Matka wyłączyła telewizor i próbowała mi wszystko wyjaśnić, ale co mogła powiedzieć? Była kochanką żonatego mężczyzny i nic tego nie mogło zmienić. - Przeczesał bezwiednie włosy palcami. - Trochę mi potem odbiło. Zacząłem się włóczyć w nieciekawym towarzystwie. Mick, Joey, Peter... i paru innych. W końcu założyliśmy pewien rodzaj spółki.

- Nie rozumiem. Co to ma wspólnego z twoim ojcem?

- Postanowiłem udowodnić, że jestem tak samo dobrym biznesmenem jak on. Przez jakiś czas usiłowałem go naśladować. - Głos mu ścichł, jakby wyciągał każde słowo z mrocznej czeluści. - Z czasem stałem się nim. Tylko moje interesy były jeszcze bardziej podejrzane. Chodziło o stan konta: co jeszcze ujdzie mi na sucho, czyje machinacje są śmielsze. Nie liczyło się nic innego. Kogo zniszczę, osiągając cel. Nie obchodziło mnie dobro i zło, szukanie równowagi. Tylko zwycięstwo za dowolną cenę.

## Noc fantazji

213

Mimowolnie zeszywniała, przypomniawszy sobie jego słowa z wcześniejszej rozmowy. „Ja wygrywam. Zawsze. Nieważne jakim kosztem”.

- Co się zmieniło?

- Wiele. Wszystko robię jawnie i nigdy nie oszukuję. Jeśli sprzedasz ranczo to dlatego, że zaproponuję ci coś, czego pragniesz bardziej niż Longhorn.

- Co cię przekonało do zmiany?

- Nie co, tylko kto. Moja siostra, Ana. Byłem dwudziestojednoletnim chojrakiem, a ona typową dwunastolatką. Przechwalałem się przed nią świetnym interesem, jaki zrobiliśmy z Mickiem i chłopakami. Właściwie było to oszustwo, a ona się rozplakała. Wtedy nielegalna działalność mojego ojca została już ujawniona, podobnie jak istnienie mojej matki, moje i Any. Boss rok wcześniej zmarł w więzieniu. Ana była przerażona, że mnie zamkną tak samo jak ojca i zostanie całkiem sama.

- A co z matką?

- Ona też już nie żyła. Uważam, że po wybuchu skandalu wokół mojego ojca została zaszczerzona na śmierć przez pismaków. - Potarł dłonią szczękę. - Ana zmusiła mnie, żebym się przyjrzał, bardzo uważnie, swojemu życiu. Tego dnia podjąłem kilka bardzo poważnych decyzji.

- Co zrobiłeś?

- Całkowicie zerwałem z Mickiem i chłopakami. Od tego momentu zacząłem skrupulatnie przestrzegać tego, by każdy mój interes był absolutnie uczciwy. W koń-

214

### **Day Leclair**

cu poszedłem na Harvard. Zarobiłem pieniądze, bardzo duże pieniądze.

- A druga rodzina ojca? Hollisterowie?

- Meredith, matka MacKenzie, to dama z towarzystwa mająca majątek i tytuły nie gorsze od mojego ojca. Moja matka była dziewczyną ze wsi, biedną jak mysz kościelna. On ożenił się z pierwszą, a drugą uczynił kochanką.

- A ostatecznie cenę za to zapłaciły wszystkie jego dzieci.

- Tak. - Usiadł gwałtownie, z twarzą ściągniętą bólem. - Zamierzam zadbać o to, by historia się nie powtórzyła.

- W jaki sposób? - spytała z obawą.

- To proste. - Jego oczy zrobiły się lodowato zimne. - Nie będę miał dzieci, więc nie zmarnuję im życia.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Uwaga Joca szybko zakończyła pobyt na plaży. Zebrali rzeczy i wrócili do kompleksu. Ściemniało się, powietrze pachniało coraz mocniej, coraz bardziej uwodzicielsko. Tylko że nastrój się zmienił.

- Mamy rezerwację na dziewiątą w Ambrozji, jednej z najnowszych restauracji - powiedział Joc. -

Chyba będziesz się czuć swobodniej, jeśli skorzystasz z łazienki przy jednej z wolnych sypialni.

Doceniła, że nie naciskał na wymuszoną bliskość. Po długim prysznicu wyszła do sypialni i ku swemu zdumieniu zobaczyła na łóżku pudło ze swoim nazwiskiem. Z niepokojem i ciekawością rozpakowała prezent i zamarła. Nazwanie tego sukienką byłoby obelgą. Wyjęła strój, potrząsając głową z niedowierzaniem.

Długa do samej ziemi suknia nie ważyłaby chyba nic, gdyby nie ozdoby. Oczywiście tylko dzięki nim osoba nosząca ten strój miała szansę uniknąć aresztowania za nieobyczajność. Czarny materiał był przezroczysty jak mgiełka. Pokrywały go kwiatowe wzory z lśniących kamyczków, zasłaniające właściwie tylko krytyczne miejsca. Cieniutkie ra-

**Day Leclair**

miączka miały utrzymać sukienkę na miejscu, wątpiła jednak, czy były do tego zdolne.

Potrząsnęła nią. Na podłogę spłynęła mała karteczka. Podniosła ją i przeczytała:

*Mam nadzieję, że włożysz ją na dzisiejszą kolację. Na żadnej innej kobiecie nie wyglądałaby wystarczająco dobrze.*

Kłamstwo w żywe oczy, ale miło było uwierzyć w nie choć na kilka chwil. Przyjrzała się sukni jeszcze raz i spochmurniała.

Nie mogła jej włożyć. Tęsknie przesunęła dłonią po delikatnych ozdobach. Taka piękna, taka kobieca, taka... odważna. To nie ma znaczenia, musi ją oddać. Natychmiast... po przymierzeniu.

Niezdolna się dłużej opierać pokusie, narzuciła ją na siebie. Po dwóch krokach znalazła się przed wysokim lustrem. Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Niepozorna ranczerka zmieniła się w kogoś... olśniewającego.

Suknia leżała na niej jak druga skóra. Z przodu sprawiała wrażenie stosunkowo skromnej, dekolci miała ledwie zaznaczony. Podejrzewała, że z tyłu jest nieco inaczej. Odwróciła się... Matko kochana! Dekolci otoczony pnączami z kamieni kończył się nieskończenie nisko... kilka centymetrów nad kością ogonową. Wzór nieuchronnie prowadził wzrok w dół, wzdłuż jej pleców, do skupiska kamieni podkreślających pośladki.

Mowy nie ma. Nie będzie publicznie nosić tej olśniewającej, skandalicznej, eleganckiej sukni, zwłaszcza że odsła-

## Noc fantazji

217

niała za wiele. Podeszła bliżej do lustra i przyjrzała się swojemu brzuchowi prześwitującemu pomiędzy kamykami. Sprawdziła, czy widać coś koło prawego biodra. Na szczęście nic. Żadnej skazy, tak jak i spod jednoczęściowego kostiumu. To była idealna suknia.

Rozległo się pukanie. Podeszła do drzwi, żeby otworzyć. Przy każdym kroku spódnica wirowała wokół jej nóg kokieteryjnymi fałdami. Już nie pamiętała, kiedy czuła się tak kobieco. A może nigdy? Oczywiście trudno o takie wrażenia w przepoconej, flanelowej koszuli i znoszonych dżinsach poplamionych czort wie czym.

Uchyliła odrobinę drzwi i wyjrzała. Joc.

- Naprawdę chcę, żebyś ją włożyła - powiedział bez żadnych wstępów. Zaśmiała się krótko.
- Jedną z najbardziej smutnych rzeczy w życiu jest fakt, że nie zawsze ma się to, czego się chce.
- Co mam zrobić, żebyś się zgodziła?
- Kolejne negocjacje? Myślałam, że w trakcie tej wycieczki mieliśmy się od tego powstrzymać.
- Ale skoro to konieczne, byś tę suknię włożyła.
- Zanim spróbujesz mnie z niej wyłuskać?
- Za marzenia nikogo się nie wiesza.
- Ale można potępić.
- Tylko jeśli mu się uda je zrealizować.

Przez głowę przebiegła jej wizja jego silnych dłoni zrywających cieniutkie ramiączka, sukni opadającej pod ciężarem lśniących kamieni, poczucia bezradności wywołanego

**Day Leclair**

nagością, pomieszanego z niepowstrzymanym pożądaniem. Widziała, jak sięga ku niej, jak ona się cofa ku łóżu, jak on podąża za nią. Potem nieskończenie długi upadek na materace, pożądanie rosnące z każdym dotknięciem, wszystko zmierzające ku nieuniknionemu złączeniu ciał i dusz...

- Nic takiego się nie zdarzy - odpowiedziała jemu, a może sobie?

- Czas pokaże. Czy włożysz ją?

Nie mogła się powstrzymać przed kolejnym zerknięciem przez ramię w lustro pokazujące nieznany jej dotąd widok. Zdrowy rozsądek walczył w niej z kobiecą pokusą. Przez ostatnie dziesięć lat zawsze stawiała potrzeby Longhorn ponad własnymi. Zawsze. Pierwszy raz w życiu pragnęła ulec pokusom i zakazanym fantazjom, których była główną postacią.

- Pójdę albo w niej, albo w dzinsach, w których przyleciałam.

- W takim razie masz albo suknię, albo kostium kąpielowy, bo pozostałe ubrania są w praniu. - Oczywiście się śmiały, że tak łatwo ją wmanewrował. - No więc, włożysz ją?

- Chyba nie mam wyboru.

- Oczywiście.

- Mam jednak jedno żądanie.

- Cóż takiego?

- Potrzebne mi jeszcze coś, oprócz sukni. Zdaje się, że w Ambrozji nie pozwalają chodzić boso? No, chyba że chcesz, bym włożyła kowbojki.

## Noc fantazji

219

- Sprawdź pudło. Znajdziesz i buty, i bieliznę.

- Bieliznę?

- Dobrze poszukaj. Znajdziesz kilka koralików nanizanych na nić dentystyczną, które powinnaś nosić pod tą suknią. Wcale się nie dziwię, że je przegapiłaś.

- Zaraz... Wyjašnjmy coś sobie. Jaki w tym jest haczyk?

- Tylko taki, by utrzymać wszystko na miejscu. - Zerknął na zegarek. - Przepraszam, ale mam krótkie spotkanie, którego nie mogę uniknąć. Może umówimy się w Ambrozji o dziewiątej?

- Będę.

Czuła, że jest idiotką, godząc się na te fantazje. Jutrzejsze przebudzenie w realnym świecie będzie równie bolesne jak upadek z szalejącego ogiera.

Dokładnie o dziewiątej Joc odczuwał ogromną przyjemność, patrząc, jak Rosalyn idzie ku niemu przez salę Ambrozji. Nie tylko on się na nią gapił. Oczywiście suknią miała w tym swój udział.

Interesująco kontrastowała z jej bladą karnacją i uwydatniała mocną sylwetkę. Lecz coś innego skupiało na niej uwagę: witalna siła, od której powietrze wokół niej zdawało się iskrzyć.

Na wysokich obcasach wyglądała posagowo. Błyszcząc niezliczonymi kamykami, długim, spokojnym krokiem mijała kolejne stoliki. Gdy się zbliżała, rozmowy zamierały, by się gwałtownie ożywić po jej przejściu. Nie zauważała tego,



**Day Leclair**

tak samo jak nie zauważyła szefa sali śpieszącego w jej kierunku, oburzonego na wtargnięcie do jego królestwa bez pozwolenia czy eskorty. Joe wstał.

- Przepięknie wyglądasz - powiedział.
- Dzięki. - Obrzuciła go uważnym spojrzeniem - Ty też.

Czekał, aż szef sali odsunie dla niej krzesło. W końcu zauważyła tego zirytowanego człowieka i uśmiechnęła się do niego przepaszająco, uzyskując natychmiastowe wybaczenie. Joci starannie ukrył rozbawienie, widząc, jak kompletnie była nieświadoma wywoływanych wokół siebie zawirowań.

Może umykały jej te subtelne sygnały, bo zbyt jednoznaczny szlak wyznaczyła sobie w życiu. A może spotykający ją ludzie podświadomie wyczuwali to, co jego uderzyło przy pierwszym z nią kontakcie - że jest wyjątkowa. W każdym razie, niezależnie od powodów, Rosalyn bez wysiłku i całkowicie bezwiednie przyciągała do siebie ludzi.

Gdy złożyli zamówienie, zdał sobie sprawę, że jest zdenerwowana do nieprzytomności.

- Co się dzieje? - spytał łagodnie.
- Zupełnie nie wiem, dlaczego tu jestem - wyjaśniła, nie owijając w bawełnę.
- Możesz wyjść w każdej chwili. Powiedziałem ci, że nie ma żadnych haczyków w tym wspólnym wieczorze. Szczerze.

## Noc fantazji

221

- Mogę zmienić zdanie i nie wściekniesz się?

- Będę zawiedziony, ale nie zły. - Wyciągnął rękę ku jej dłoni, zatrzymał tuż przed dotknięciem, ale i tak poczuł przepływający pomiędzy nimi prąd. - Tylko że nie zmienisz zdania.

Ostrożnie cofnęła dłoń i otarła ją o udo, jakby chciała zetrzeć z niej niechcianą reakcję na niego. Był pewien, że zrobiła to bezwiednie.

Przyniesiono półwytrawny vouvray i przystawki. Krewetki na zimno, kalmary na ostro, przysmażone plasterki przegrzebków i wałeczki pasty z owoców morza w kształcie małży otoczone kawałkami marynowanych szparagów.

Gdy próbowała wina, nałożył jej na talerz najbardziej soczyste przystawki. Rosalyn wzięła krewetkę, zanurzyła w sosie i ugryzła. Zamknęła oczy i westchnęła z przyjemnością. Na widok jej miny aż zacisnął zęby. Pragnął, by patrzyła na niego z takim właśnie wyrazem twarzy. W tej chwili podjął decyzję. Nie obchodzi go koszt. Pragnął tej kobiety i musiał ją mieć przed świtem.

- Dobrze?

- Fenomenalne. - Jej spojrzenie było przymglone zmysłową przyjemnością. - Najlepsze w życiu jadłam w Nowym Orleanie, ale tym naprawdę niewiele brakuje. Udało ci się wszystko załatwić?

- Niestety, będę mógł to zrobić dopiero rano. Teraz wieczorem spotkałem się z prawnikiem w ramach przygotowania do spotkania z innymi właścicielami Deseos.

**Day Leclair**

- Ach, nie przyszło mi do głowy, że masz wspólników. Założyłam, że jesteś jedynym właścicielem wyspy. Głupio, nieprawdaż?

- Wcale nie. Właściwie to do jutra wieczorem będę jedynym posiadaczem wyspy.

- To zabrzmiało groźnie.

- Współpraca się nie udała. Powinienem się był tego spodziewać, biorąc pod uwagę przeszłe wydarzenia.

Zmrużyła oczy, starannie rozbierając ha części tę jego celowo niejasną wypowiedź.

- Czy przypadkiem nie mówisz o Micku i pozostałych kumplach ze szkoły?

Bystra była, musiał to przyznać.

- Tak, właśnie o nich.

-Dlaczego miałbyś... - przerwała. - Przepraszam. To nie moja sprawa.

- Owszem, ale ci odpowiem. Zwrócili się do mnie, twierdząc, że mieli trudny okres. Dokonali złych wyborów, a teraz zmądrzeli i byli gotowi się zmienić, tak jak ja przed laty. Potrzebowali tylko trochę pomocy. Oczywiście wcale nie o to im chodziło.

- A o co? - spytała miękko.

- O Deseos, oczywiście. Oraz dokopanie mi za to, że tak ich daleko za sobą zostawiłem, odrzuciłem przed laty i dorobiłem się bez nich.

Zauważył zdziwienie na jej twarzy i szybko zmienił temat. Chciał ją oczarować, a nie wystraszyć.

Reszta wie-

## Noc fantazji

223

czoru upłynęła zaskakująco miło. Rosalyn była bystrą, interesującą rozmówczynią, jedną z najbardziej pewnych siebie kobiet, jakie spotkał.

Po kolacji zaproponował spacer. Zgodziła się ochoczo. Na nierównych deskach moło od razu się potknęła. Przyklęknął u jej stóp.

- Chwileczkę. Skręcisz nogę i będzie to moja wina. Zdejmę ci te buty.

Chwyił ją za kostkę i oparł jej stopę na swoim udzie. Rosalyn zeszywniała, czując się jak najbardziej niezdarny w świecie bocian. Zachwiała się i chwyciła go za ramiona. Przytrzymał ją za biodro, trafiając palcami na cieniutki sznureczek tak zwanej bielizny. Zatrzymał na moment dłoń, głaszcząc ją końcami palców.

Żar tej ukradkowej pieśczoży przepalił jej suknię i rozlał się po ciele. Miała wrażenie, że za chwilę zaświeci własnym światłem. Coś kotłowało się pomiędzy nimi. To było złe, niewłaściwe, ale mimo że o tym wiedziała, jej chwyt za ramiona zmienił się w uścisk. Pragnęła być z nim, szepnęła jego imię...

W odpowiedzi musnął palcem jej dolną wargę.

- Wkrótce - zamruczał.

Zakłęcie prysło, wyprostowała się, nagle otrzeźwiała.

- Nie ma pośpiechu.

- Też tak sobie wmawiałem, ale sądząc po wszelkich oznakach to raczej nieprawda.

Szybko zdjął jej but, potem drugi, bardzo bezosobowymi

**Day Leclair**

ruchami, jakby tamta magiczna chwila w ogóle nie istniała. Zahaczył sandały obcasami o jedną z kieszeni.

- Gotowa?

- Mogę iść, jeśli o to pytasz. - Ledwie.

Weź się w garść, poleciała sobie. Co się z nią dzieje? Czemu tak głupieje przy nim? Traciła kontrolę, nie mogła sobie na to pozwolić.

Na zewnątrz bajkowego świata czekało potrzebujące opieki ranczo i człowiek zdecydowany je jej odebrać, nawykły do wygrywania za wszelką cenę. Nie mogła się poddać seksualnemu oszołomieniu w czasie, gdy on knuł, jak ją pokonać. Musiała pamiętać, że jej obowiązkiem jest ochrona rancza. Może jeśli się na tym skupi, znajdzie sposób na przetrwanie reszty nocy.

Na molo było trochę ludzi. Jedni siedzieli objęci, inni wędkowali albo po prostu patrzyli na ocean.

Szła w milczeniu do końca pomostu. Tu już nie było nikogo. Zatrzymali się w kręgu światła żelaznej latarni.

- Coś nie tak? - spytał.

- Cały czas się zastanawiam, dlaczego zgodziłam się tu z tobą przyjechać. - Gestem wskazała suknię. - Co tu robisz tak ubrana, z perspektywą jednonocnego romansu?

- Zmieniłaś zdanie? - A ty?

- Ani o włos.

- Pragnę cię - przyznała szczerze. - Jednak nie wiem,

## Noc fantazji

225

czy mądrze byłoby poddać się tym chęciom, skoro to może zagrozić mojemu ranczu.

- Nie ufasz mi.

- Nie bardziej niż ty mnie czy swoim dawnym przyjaciołom. Albo Hollisterom. Więc dlaczego tu jestem, Joc? Czego ty naprawdę chcesz? Czy to sposób na wyciągnięcie ode mnie rancza przez uwiedzenie?

- Niech to diabli, dziewczyno! - warknął z frustracją. - Wiesz, czego chcę, w tej chwili nie ma to nic wspólnego z twoją posiadłością. Chcę się z tobą kochać, aż żadne z nas nie będzie w stanie myśleć. Znow błysnął jej obraz ich razem. Za łatwo jej to przychodziło. \ - A potem?

- Potem znajdziemy się w tym samym miejscu co przedtem - przyznał, przez zaciśnięte zęby. - Czy to w ogóle ma znaczenie? Jeśli oboje się zgodzimy, że cokolwiek dziś w nocy się wydarzy, nie ma nic wspólnego z naszymi interesami...

- Nie mamy żadnych interesów.

- Powtórzę więc, w takim razie w czym problem? Ty pragniesz mnie. Ja pragnę ciebie. Twoje ranczo nie ma nic wspólnego z tym, co się dzieje między nami. Wystarczy, że wrócimy do kompleksu. Zgódź się i oboje dostaniemy to, czego pragniemy najbardziej.

Wyszła z kręgu światła, próbując pomyśleć praktycznie, a nie kierować się pożądaniem.

**Day Leclair**

- Nie wiem, Joc. Muszę pomyśleć.

- Przyjechałaś tu ze mną. Jest tylko jeden powód, dla którego mogłaś to zrobić.

Miał rację. Powód był tylko jeden: chciała spędzić noc w jego łóżku. Musiał zobaczyć to w jej oczach, bo przygarnął ją do siebie i pocałował.

Ogarnęła ją taka fala pożądania, że objęła go i przycisnęła jeszcze mocniej do siebie. Jego dłonie zsunęły się na jej odsłonięte przez suknię plecy. Zadrżała pod tą pieśczętą, przycisnęła się do niego jeszcze mocniej i poczuła, że i on jej pożąda.

- Proszę, zabierz mnie do pokoju - szepnęła.

Bez słowa wziął ją za rękę. Droga do kompleksu ciągnęła się w nieskończoność. W pospiesznym milczeniu dotarli do holu przed apartamentem. Wpatrywał się w nią wzrokiem zawierającym w sobie wszystkie nieskończone noce wypełnione czystą namiętnością. Świat realny zaczął zanikać, pozostawało tylko to spojrzenie. Pragnęła zatopić się w czystej, fizycznej przyjemności.

Nie potrafiła. Zbyt wiele bolesnych zakończeń ją w życiu spotkało, by uwierzyć, że taka pojedyncza noc rozkoszy może mieć inne niż najgorsze skutki. Jednak nawet mając tego świadomość, nie umiała się oprzeć nieuniknionemu.

- Jeżeli my... Jeżeli...

- Będziemy się kochać.

- To nie kochanie się - zaprotestowała - tylko uprawianie seksu. Jeśli się ze sobą prześpiemy, musisz wiedzieć,

## Noc fantazji

227

że nie ma to nic wspólnego z moim ranczem ani negocjacjami.

- Wiem.

- Nie używam seksu jako narzędzia. Nigdy tego nie robiłam i nie będę robić.

- Wiem, że nie byłabyś do tego zdolna.

- Musiałam to podkreślić. - Odetchnęła głęboko, zbierając się do wyznania prawdy. - Pragnę cię. Czysto fizycznie. A potem odejdę i już nigdy się nie zobaczymy.

- To niemożliwe.

- Tylko na takie zasady mogę przystać. Jeden raz i nigdy więcej.

- Przekonasz się zaraz, że ja łamię wszelkie zasady. - Pocałował ją delikatnie w kącik ust. - Nasz pierwszy raz będzie delikatny, powolny i potrwa tak długo, jak się tylko da.

- Znęcasz się nade mną.

- Zamierzam dać z siebie wszystko. I nie będzie to tylko jeden raz. Potrwa całą noc. Kiedy skończymy, żadne z nas nie będzie wiedziało, kim jest.

- A wtedy się rozejdziemy. - Jeśli w ogóle będą w stanie chodzić. - Każde z nas ruszy swoją drogą, tak?

Musiała wygrać choć jedno ustępstwo w tej umowie z diabłem, bo bardzo szybko zdała sobie sprawę, że czy jej się to podoba, czy nie, znajdują się w samym środku negocjacji.

- To może być trochę trudne, biorąc pod uwagę, że znajdujemy się na wyspie. Będziemy musieli jutro stąd odlecieć.



228

### **Day Leclair**

-Ale zaraz potem. Nigdy więcej. Rozejdziemy się. W przeciwnym razie... żadnego seksu. - Kogo ona usiłowała oszukać?

- Chyba niewiele mogę zrobić, skoro tego właśnie chcesz.

- Właśnie tego. Jedna noc i potem koniec z nami. Kiedy wrócą do Dallas, już nigdy go nie zobaczy.

Nigdy

nie pozwoli mu się dotknąć. Nigdy nie będzie w jego objęciach, nie będzie drzeć w oczekiwaniu na to, co nastąpi w najbliższych godzinach. Otoczyła go mocniej ramionami. To dopiero jutro. Wciąż jeszcze mieli tę noc.

- Weź mnie, Joc. Szybko, zanim zmienię zdanie.

## **ROZDZIAŁ PLATY**

Joc z łatwością wziął Rosalyn na ręce. Zamiast zanieść ją do jednej z sypialni, skierował się na patio. Było tu bardziej wilgotno i chłodno. Unosiły się aromaty nocy, nieusunięte przez klimatyzację.

Postawił Rosalyn. Podeszła do drzwi na taras i zapatrzyła się na lagunę. Dziś zamierzała być egoistyczna, ta noc była tylko dla niej. Tylko jedna noc dla zaspokojenia pożądanego, żeby wyrzucić z myśli wszystkie problemy. Mieć kilka godzin dla siebie, bez rozmyślania o finansach, dziurach w ogrodzeniu, chorych zwierzętach czy złożonych obietnicach, których trzeba dotrzymać.

Joc objął ją.

- Dokąd odeszłaś? Odwróciła się i westchnęła.

- Jestem idiotką.

- Wahasz się?

- Nie o to chodzi. - Roześmiała się. - To - szerokim gestem objęła całe otoczenie - miały być wakacje.

Noc fantazji,

**Day Leclair**

- Ucieczka od rzeczywistości. -Tak.
- Zaczęłaś myśleć, prawda?
- Owszem. Czy mógłbyś coś na to poradzić?
- Postaram się najlepiej, jak umiem.

Pocałował ją. Nie z tą wcześniejszą dziką namiętnością, nie jakby ją brał w posiadanie. To była eksploracja, podróż w nieznane. Coś wymagającego cierpliwości. Objęła go mocno za szyję. Wciąż było jej mało...

Odciągnął ją od drzwi, w błogosławiony mrok. Szybkimi ruchami wyjął spinki z jej włosów.

- Przez cały wieczór marzyłem, żeby to zrobić. Dlaczego ukrywasz coś tak pięknego? - spytał, gdy włosy wypełniły mu ręce ciężką falą. Spojrzała na niego z zaskoczeniem.
  - Wcale nie ukrywam.
  - Po pierwsze, ten straszny kapelusz.
  - Chroni mi twarz przed słońcem.
  - Po drugie, dzisiejsza fryzura.
  - Zrobiłam coś wyszukanego, chciałam, by pasowała do sukni.
  - A tak, suknia. Zobaczmy, co się z nią da zrobić. Zsunął cieniutkie ramiączka, potem odnalazł suwak. Ciężar ozdób ściągnął delikatny materiał w dół. Suknia zwolniła chwilę na biodrach, lecz potem opadła na podłogę z delikatnym staccato kamyków.
- Stała przed nim, mając na sobie tylko prawie niewidzialną bieliznę i własną, bladą, gładką skórę. Poruszyła się szyb-

## Noc fantazji

231

ko, tak by znaleźć się z dala od księżycowego blasku, mając nadzieję ukryć niedoskonałości.

- Wciąż jesteś całkowicie ubrany - powiedziała. - Według mnie to kompletnie nie fair.

- Nie mogę się zgodzić - rzekł, obejmując jej pierś. - Jesteś tak perfekcyjna, jak sobie wyobrażałem.

- Dużo nie musiałeś sobie wyobrazać. - Z trudem składała słowa, oszołomiona podnieceniem. - Ta suknia niewiele pozostawia domysłom.

- Dlatego właśnie wybrałem ją z myślą o tobie. Poruszył dłonią i straciła głowę. Gwałtownie zdarła z niego krawat i kilkoma szarpnięciami pozbawiła koszulę guzików, które ze stukotem rozsypały się po podłodze. Przez chwilę rozkoszowała się jego twardymi mięśniami. Pokrywała go pocałunkami, ściągając z niego kolejne elementy garderoby.

Gdy był już nagi jak ona, pociągnął ją w stronę sofy. Opadła na miękkie poduszki. W ich pocałunkach było coś nowego, jakby odkryli nowy przysmak i pragnęli się nim delectować. W pewnej chwili, zanim zdołała go powstrzymać, dotarł dłonią do jej brzucha i zamarł. Odruchowo zasłoniła się dłonią.

- Nie, kochanie, nie rób tego. - Splótł palce z jej. - Nie musisz się przede mną ukrywać.

Cofnął się, dopuszczając blask księżycy, który bezlitośnie rozjaśnił jej ciało. Patrzyła w sufit. Serce waliło jej w oczekiwaniu na jego reakcję: czy ją zaakceptuje, czy odrzuci. Do-

**Day Leclair**

tknął ponownie, sunąc palcami po poszarpanej bliznie, zaczynającej się tuż pod lewą piersią i kończącej na prawym biodrze.

Drżała pod tym dotknięciem. Poza lekarzami tylko jedna osoba widziała tę bliznę. Gdy ich związek się kończył, -powiedział jej, że kochał się z nią pomimo tej szramy, choć już sam jej widok budził w nim wstręt, co dopiero mówić

o dotyku. Lecz Joc badał ją wyjątkowo starannie. Denerwowała się coraz bardziej. Gdy była już gotowa zerwać się na równe nogi, odezwał się:

- Jak, moja droga? - W jego głosie pobrzmiewała złość. - Jak się to stało?

- To był wypadek. - Z trudem udawało jej się mówić normalnie.

- Ulżyło mi, że nikt tego nie zrobił rozmyślnie. Ale... to musiał być raczej poważny wypadek

- Owszem.

- O, do diabła. Wydarzyło się to, gdy przejęłaś Longhorn po śmierci rodziców, prawda? Wtedy zostałaś ranna.

- Mój pierwszy tydzień w pracy. Miałam osiemnaście lat

i wszystko mnie przerastało. Byk dobrze to wiedział i wyjaśnił mi, jakie jest życie.

- Wypatroszył cię? - zdusił przekleństwo.

- Tak Od tego czasu noszę tę bliznę, żeby pamiętać.

- Pamiętać o czym?

- Co jestem winna otrzymanemu dziedzictwu i jaką ceną za to trzeba zapłacić.

## Noc fantazji

233

- Masz kompleks na jej punkcie, prawda?

Zakryła twarz ramieniem. Natychmiast opuścił głowę. Jego oddech ogrzał jej chłodną skórę. Poczowała jego wargi na bliźnie. Gdzieś głęboko zbudziło się w niej drzenie i rozplynęło się od jego ust we wszystkich kierunkach gorącymi falami.

- Boli mnie to, co ci się przytrafiło - wymruczał - ale jeszcze bardziej fakt, że pozbawiło cię to pewności siebie i napełniło lękiem w chwilach, gdy powinnaś mieć w sobie największą moc. Kiedy twoja kobiecość powinna mieć władzę nad światem.

Jego słowa zapadły głęboko w jej duszę, coś zlodowaciałego od lat roztajało. Łzy wypełniły jej oczy i cicho stoczyły się po skroniach, niknąc we włosach.

- Myślałam, że mogę wzbudzić w tobie wstręt.

- Jest świadectwem przetrwania. Jak mógłbym się jej brzydzić?

Nie wiedziała, jak długo leżała, zszokowana jego słowami. Wiedziała tylko, że obnażył ją całkowicie, odkrył coś, czym najłatwiej było ją zranić. Był jej wrogiem, a ona pokazała mu swoją ranę.

Tymczasem, zamiast wykorzystać jej bezbronność, zamiast rozedrzeć ją na strzępy, przywrócił jej siłę. Sięgnęła do niego, by na jego dawanie odpowiedzieć tym samym. Przyciągnęła go w objęcia.

- Proszę, Joc. - Poruszyła sugestywnie biodrami. - Pragnę cię.

**Day Leclair**

Joc ponownie się przyglądał, jak Rosalyn powoli się budzi. Tak jak w samolocie zaspana wyglądała na wyjątkowo bezbroną. Widział wszystkie jej sekrety, namiętność, którą w niej budził. Szramę, którą tak przed nim ukrywała. Emocjonalne blizny jeszcze głębiej schowane. A co najgorsze, wydarzenia sprzed kilku godzin. Wszystko było w jej nerwowym spojrzeniu.

- Dzień dobry - powitał ją, nieco szorstko. Usiadła, podciągając okrycie pod brodę.
- Dzień dobry. - Zamknęła oczy i roześmiała się gorzko. - Tylko posłuchaj. Biorąc pod uwagę wydarzenia ostatniej nocy.
- Nie wspominając już o poranku.
- Nie wspominając o poranku - potwierdziła spokojnie. - Wydawałoby się, że po tym wszystkim powinniśmy się czuć nieco swobodniej w swoim towarzystwie.
- Co do poranka... Nastąpiła awaria sprzętu.
- To znaczy...
- Uszkodzenie zabezpieczenia. Czy jesteś na pigułkach?
- Nigdy nie były mi potrzebne.
- No to mamy problem.

W ostrym świetle tropikalnego dnia znikła gdzieś wytworna dama z minionego wieczoru. Zapadła głębiej w poduszki, podciągając kolana pod brodę.

- Istnieje duża szansa, że problemu nie ma - zaprotestowała, ale dość niepewnie.
- Pewność będziemy mieli dopiero za kilka tygodni

## Noc fantazji

235

powiedział, przywołując swój najspokojniejszy ton, tak skuteczny w negocjacjach.

- To prawda - szepnęła.

- Jesteś w środku cyklu czy bliżej końca?

- Prawie pośrodku.

- Dobrze. W tej chwili nic nie możemy z tym zrobić, chciałbym jednak zgłosić jedno, proste żądanie.

- Aż się boję spytać... jakie to żądanie i na ile jest proste?

- Proszę cię, żebyś obiecała do mnie zadzwonić natychmiast, gdy tylko będziesz miała pewność.

Zrobisz to? - Popatrzył na nią, spodziewając się wykrętów.

- Oczywiście - zgodziła się bez wahania.

W głębi domu zadzwonił telefon. Przeprosił ją i szybko poszedł odebrać. Niecierpliwie załatwił sprawę szczegółów zbliżającego się spotkania. Kiedy wrócił, Rosalyn już nie było. Na pewno nie chciała już o tym rozmawiać, zupełnie jakby unikanie problemu powodowało jego niwelację.

Rozmyślał długą chwilę w milczeniu. Dziecko. Mogła być z nim w ciąży. Po tym co przeszli z Aną, przysięgał sobie, że nie będzie miał dzieci. Nie potrafił jednak pozbyć się sprzed oczu obrazu Rosalyn.

Widział ją, jakby stała przed nim. Silna. Szczupła. Szczera.

I nosząca jego dziecko.

Znów poczuł, że namiętność do niej zagraża mu utratą kontroli i wszystkiego, co miał nadzieję osiągnąć.



**Oay Leclair**

Rosalyn spędziła w łazience długi czas, starannie myjąc każdy skrawek ciała. Nic to nie zmieniało. Jej skóra wciąż lśniła od dotyku Joca. Całe ciało miała przez niego naznaczone. Wciąż czuła jego zapach. Jak mogła sądzić, że wystarczy jej jedna noc z nim? Była nieporównywalna z niczym, czego w życiu doświadczyła. Gdyby się zdobyła na szczerłość, musiałaby przyznać, że pragnie więcej. Była idiotką, sądząc, że się nasycą w te kilka godzin, a potem rozejdą bez konsekwencji emocjonalnych i...

Powoli zsunęła dłoń na płaski brzuch. Czy to możliwe? Czy może być w ciąży? Uszkodzenie zabezpieczenia było tak niewielkie. Jakie jest prawdopodobieństwo zapłodnienia? Na pewno bardzo niskie. Ale jednak... Co będzie, jeśli tak się właśnie stanie?

Zamknęła oczy, wystawiając twarz pod strugi wody z prysznic. Joc już jednoznacznie określił swoje stanowisko. Nie zamierzał mieć dzieci i kropka. I gdzie się teraz znalazła? Między młotem a kowadłem.

To nieważne, uznała. Jeśli prawdopodobieństwo stanie się pewnością, nie będzie go o nic prosić. Sama zadba o dziecko. Będzie Oakleyem, z dziedzictwem, które nowe pokolenie może przejąć z dumą.

Woda zrobiła się chłodniejsza, więc zakreśliła ją szybko. Dość już czasu straciła. Ukrywanie się nie leżało w jej naturze. Zeszłej nocy dokonała wyboru i bez wahania poniesie konsekwencje. Kilka minut zajęło jej wysuszenie włosów.

## Noc fantazji

237

Wczorajsze ubranie znalazła na łóżku, wyprane i złożone. Nawet stetsona wyczyszczono. Pięć minut później wyszła z sypialni gotowa stawić czoło Jocowi i całemu światu.

Zastała go z filiżanką kawy w ręce, siedzącego przed porozrzucanymi papierami. Wstał na jej widok i nalał kawy dla niej.

- Jaką pijesz?

Dała mu standardową odpowiedź z Longhorn:

- Czarną jak smoła i gęstą jak błoto.

- Smołę da się zrobić, ale z błota chyba musisz zrezygnować i zadowolić się gęstością ropy naftowej.

Odpowiedziała uśmiechem, zadowolona, że między nimi panuje lżejsza atmosfera.

- Trochę wodnika, ale może być.

- Zaraz jadę do biura na spotkanie. - Podał jej kawę. - Bardzo bym się cieszył, gdybyś mi towarzyszyła.

Zaskoczyła ją jego propozycja. Choć podał ją w lekkiej formie, wyczuwała w niej głębszy cel.

- Tak z ciekawości, po co ja tam?

- Sądzę, że będzie to dla ciebie... pouczające.

- Uważasz, że potrzebuję pouczenia? - zirytowała się.

- Na tym konkretnym polu na pewno nie zaszkodzi. - Zerknął na zegarek. - Odlatujemy do Dallas zaraz po rozwiązaniu spółki. Powinnaś być w domu wczesnym popołudniem.

Czego oczekiwała? Że zadeklaruje swą niezmierną miłość i naprawi wszystko, co w jej życiu się nie udało?

**Day Leclair**

Śmieszna mrzonka, zwłaszcza że to on był źródłem większości jej obecnych kłopotów. Poza tym przecież od dziesięciu lat sama borykała się z niezliczonymi problemami i troskami. Nie potrzebowała mężczyzny. Znakomicie umiała sobie poradzić sama.

- Dobrze. Jestem zawsze otwarta na nowe doświadczenia. - Choć nic nie mogło się równać z ostatnią nocą... - Uczestniczenie w twoim spotkaniu może się okazać bardzo interesujące.

Po śniadaniu udali się do budynku bardzo przypominającego kompleks wypoczynkowy, ale mającego niewątpliwie charakter biurowy. Sekretarka wprowadziła ich do sali konferencyjnej, zupełnie odmiennej od tych w Dallas.

Obszerna i bardzo jasna była odbiciem widoków wyspy. Pod stopami mieli puszystą wykładzinę w kolorze miejscowego piasku, a ściany były intensywnie niebieskie jak woda w lagunie. Pośrodku stał stół nie prostokątny, tylko okrągły, stwarzający przyjazną atmosferę. W ogóle całe pomieszczenie miało uspokajać i skłaniać do pozytywnych rozwiązań. A przynajmniej tak sądziła do momentu, gdy zobaczyła pokrywającą blat intarsjowaną sylwetkę wilka.

To przywołało wspomnienia pierwszego spotkania z Jo-kiem, podkreśliło przejście od rozkoszy ostatniej nocy do chłodnych interesów. Miała swoje romantyczne pięć minut, które już minęły.

Przyprowadzenie jej tutaj dobitniej niż słowa mówiło, że znajdują się na gruncie czysto biznesowym.

## Noc fantazji

239

Rozejrzała się po sali, dopiero teraz dostrzegła kilku mężczyzn w garniturach. Stali w końcu pomieszczenia, częstując się kawą i kanapkami. Rozmawiali swobodnie. Widać było, że znają się od dawna. Przy Jocu wydawali się bardzo zwyczajni. Brak im było jego unikatowej siły, bystrości i... atrakcyjności. Ciekawa była, który to Mick, ale na pewno szybko się dowie. Podejrzewała, że to on będzie głównym oponentem Joca w rozmowach.

Zerknęła na niego i stężała. Stał po przeciwległej stronie pomieszczenia i oparty o ścianę intensywnie się Wpatrywał w pozostałych błyszczącymi oczami. O rany, przecież oni kompletnie nie zdawali sobie sprawy, że są skończeni. Choć wydawał się zrelaksowany, widziała, jak wewnętrznie przygotowuje się do egzekucji.

Wtedy na nią spojrział. Ku jej zdumieniu, drapieżca pozostał w jego oczach. Tylko że teraz polował na nią. Widziała wspomnienie ostatniej nocy, świadomość, jak ich oboje zmieniła, oraz obietnicę, że wkrótce, bardzo niedługo, za nią też się weźmie. Gdzie się podział tamten kochanek? -zastanawiała się z niepokojem.

Wskazał jej krzesło nieco z boku.

- Może tu usiądziesz? - zaproponował.
- Nie na linii ognia?
- Coś w tym rodzaju.

Gdy zajęła miejsce, on usiadł przy stole. Pozostali powoli dołączyli. Z ich krótkich spojrzeń domyśliła się, że to rozmyślne zachowanie. Nie umiała sobie wyobrazić, co mo-

**Day Leclair**

gli na tym zyskać poza zirytowaniem Joca. A może właśnie o to chodziło? Subtelne okazanie siły. Zdawali się mówić: Może i jesteśmy na twoim terenie, ale to my decydujemy. Dużo się jeszcze musieli nauczyć...

Powoli zajęli miejsca, wciąż rozmawiając między sobą. Gdy już wszyscy usiedli, przed każdym pojawił się stosik papierów. Tylko przed Jokiem blat pozostał pusty.

- No cóż, Arnaud - zagał jeden z nich, niewątpliwie Mick - to może być pierwszy raz, gdy stracisz. Jeśli ci to poprawi humor, przynajmniej załatwili cię starzy znajomi.

Rosalyn zachnęła się. Czy ona takim samym tonem zwracała się do Joca? Czy wyglądała tak samo jak te bezradne króliki grożące Złemu Wilkowi wojowniczym poruszaniem noskami? Boże, dopomóż im. I jej też.

- Co konkretnie miałbym stracić, Mick? - spytał Joc, potwierdzając tożsamość przeciwnika.

- Isla de los Deseos - odparł Mick. - Głosowaliśmy, wynik jest jednomyślny. Przygotowaliśmy dla ciebie czek z sumą stanowiącą twój udział w spółce. Oczywiście, dużo mniejszą niż będzie wynosiła wartość wyspy, gdy skończymy ją zagospodarowywać, ale całkowicie zgodną z umową.

Ku zdumieniu Rosalyn Joc wcale się nie przejął tą wiadomością. Raczej sprawiał wrażenie... rozbawionego.

- Zakładam, że to posunięcie jest wynikiem mojego braku zgody na wasze plany?

- Tłumaczyliśmy ci to nieskończoną liczbę razy - rzekł

## **Noc fantazji**

**241**

Mick. - To miejsce jest potencjalną żyłą złota. Wystarczy je wydobyć.

- To znaczy, całą wyspę zabudować kurortami.

- Właśnie. - W głosie Micka pojawił się ślad urazy. - Masz więcej pieniędzy, niż ci potrzeba. Co złego w tym, żeby stara wiara godziwie zarobiła? To tylko jedna wyspa.

- A miejscowa fauna i flora?

- Są inne wyspy. Niech się tam przeniesie.

- Znamy się od dziecka, Mick.

Rosalyn wychwyciła w głosie Joca coś szczególnego. Rezerwę, którą sama stosowała, chcąc ukryć swój ból. Zapragnęła zerwać się i stanąć u jego boku, objąć go i dać mu wsparcie.

- Jesteście gotowi zniszczyć naszą przyjaźń dla pieniędzy? - spytał. - Czy raczej dla jeszcze większych pieniędzy?

Mick wpatrywał się w Joca, jakby wyrosły mu dwie dodatkowe głowy.

- No cóż, tak. Skoro potrzebna nam całkowita jednomyślność do dalszego zagospodarowywania wyspy, a nie zdołamy jej uzyskać bez usunięcia ciebie... - Postukał w stosik papierów leżący przed nim. - Stanowisz dla nas problem.

- Ta spółka miała wam pomóc stanąć na nogach. Wszystkim.

Mick zacisnął dłonie w pięści.

- A teraz, kiedy na nich stoimy, chcemy więcej. Powinieneś to rozumieć. Pragnienie, by mieć więcej, napędzało cię przez te wszystkie lata. Nie możesz zaprzeczyć.

**Day Leclair**

- Wiecie, że skonstruowałem naszą spółkę wyjątkowo starannie - rzekł. Mick potrząsnął głową.
  - Niewystarczająco, Joc. Pozostawiłeś klauzulę pozwalającą nam cię wykupić. - Wzruszył ramionami.
  - Myślę, że z altruistycznych powodów, bo wszyscy byliśmy przyjaciółmi.
  - Nie nazwałbym tego altruizmem, nawet nie szczodrością. Raczej było to bliższe... ciekawości.
- Rosalyn zamknęła oczy. Podejrzewała, że wie, dokąd Joc zmierza. Mick odchylił się na oparcie, z trudem zachowując cierpliwość.
- A czego byłeś ciekaw? - Najwyraźniej w ogóle nie zależało mu na odpowiedzi. - Co mogło być tak interesujące, żebyś się zgodził wejść z nami w spółkę i to dającą nam przewagę?
  - Byłem ciekaw, czy będziecie chcieli mnie oszukać. I odpowiedzieliście na to pytanie.
- Mick poczerwieniał lekko.
- Miło było pomóc - warknął. - A teraz skończmy już tę farsę.
  - Słusznie, skończmy. Opuśćcie wyspę za godzinę.
  - Już nie jesteś właścicielem wyspy, Arnaud. - Lęk wkradł się w furję Micka. - Głosowaliśmy. To ty wypadasz zgry.
  - Przeczytajcie pierwotną umowę spółki nieco dokładniej. Wynajmijcie prawnika. - Joc spojrział na najbardziej niepozornego człowieka siedzącego na samym końcu. -

## Noc fantazji

243

Prawdziwego, specjalizującego się w prawie korporacyjnym i umowach spółek, a nie jednorazowych przekrętach. Pokaże wam klauzulę starannie ukrytą w kontrakcie, taką, której nie uda wam się złamać. Jeśli jednomyślnie postanowicie usunąć mnie ze spółki, to ja zachowuję prawo do wykupienia wszystkich waszych udziałów. - Zerknął na zegarek. - Mam lepsze rzeczy do roboty niż odszukiwanie jej w tekście, ale na pewno jest. A teraz, skoro już skończyliśmy...

Cała czwórka zwróciła się do tego ostatniego w rzędzie. Rosalyn podejrzewała, że to właśnie prawnik specjalizujący się w przekrętach. Skulił się na siedzeniu.

- Nic nie widziałem - wymamrotał. - MacKenzie nigdy nie mówiła...

Zupełnie jakby nagle zabrakło w pokoju powietrza.

- MacKenzie? - spytał Joc ostro. - Ona jest w to zamieszana? W jaki sposób?

Milczenie. Mężczyźni opuścili wzrok na leżące przed nimi papiery. Rosalyn patrzyła, jak Joc walczy z furją. W końcu zwrócił się do całej piątki.

- Jeszcze jedno - powiedział cicho, prawie szeptem. - Nie zamierzałem wykorzystywać drugiej części klauzuli ukrytej w kontrakcie. Lecz teraz, gdy wiem, że MacKenzie jest zamieszana w tę sprawę, że zdradziliście mnie, działając według jej planu, zmieniłem zdanie. Mam nie tylko prawo wykupić wasze udziały, ale i dokładnie za tyle, ile włożyliście. Żaden z was nie zobaczy nawet centa zysku z tej wy-  
spy.



**Day Leclair**

- Co, u diabła...

Joc odsunął krzesło i wstał.

- Próba przewrotu z chciwości to coś, co prawie jestem w stanie zrozumieć - warknął. - Lecz wy wciągnęliście w to Hollister. Pozwoliliście jej dobierać się do mnie poprzez was. Na tym nikt nigdy nic nie zarobi.

Wtedy rozpętało się piekło. Krzyki ucichły dopiero po dobrej godzinie, kiedy spora grupka ściągniętych na gwałt prawników starannie i dokładnie wyjaśniła znaczenie ukrytej w kontrakcie klauzuli. Kiedy wszystko się skończyło, Ro-salyn nie widziała ani jednego zwycięzcy. Wspólnicy stracili Deseos, ale Joc coś o wiele bardziej cennego - przyjaciół. Co gorsza, również zdolność ufania komukolwiek, jeśli w ogóle kiedyś ją miał.

Wtedy zdała sobie sprawę z czegoś jeszcze. Celowo ją zaprosił, by była świadkiem tej sceny. To była jego wersja ostrzeżenia. Walcz ze mną na własne ryzyko. Ja nie przegrywam. Nieważne, kto przy tym zostanie zniszczony: przyjaciel czy wróg. Obaj znaczą dla mnie tyle samo. Wczoraj to ona nalegała, żeby ich wspólna noc pozostała całkowicie bez związku z interesami. Dziś udowodnił jej, że to żaden problem.

Przynajmniej z jego punktu widzenia.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Natychmiast po zakończeniu spotkania poszli do odrzutowca. Nie odzywała się, dopóki nie zapięli pasów.

- Bardzo mi przykro, Joc - powiedziała.
- Dlaczego? - spytał, choć wiedział. Widziała to po jego oczach.
- Czy w twoim życiu jest choć jeden człowiek, któremu możesz ufać?
- Moja siostra, Ana.
- Ana. Która mieszka w Verdonii. Jak często się widujecie?

Spostrzegła błysk bólu w jego oczach.

- Za każdym razem, gdy nabiorę ochoty, by tam polecieć.
- Jesteś całkowicie samotny, prawda? Ana mieszka o tysiące mil stąd. Jest żoną księcia i ma wspaniałe życie, którego częścią ty nie jesteś. To już nie wy dwoje przeciwko całemu światu, prawda?
- Przestań.

Wymówił tylko jedno słowo, ale powiedziało jej o nim więcej niż wszystko, co od niego do tej pory usłyszała.

**Day Leclair**

W jego głosie były cierpienie i niezmierna samotność. Wybrał świat bez bliskich, który jej został narzucony. Ona jednak miała przyjaciół, sąsiadów, pomocników na ranchu, nie wspominając już o Claire. Do zeszłego roku miała także babcię. Ufała każdej osobie, którą dopuszczała do swojego życia, odwrotnie niż on.

- Mam problem, Joc. W dodatku nie widzę żadnego dobrego rozwiązania.

-Jaki?

- Jeśli jestem w ciąży, będziesz musiał mnie wpuścić do swojego życia. A jeśli nie mnie, to na pewno nasze dziecko. W przeciwnym razie, czy twoja z nim relacja będzie się w ogóle różnić od tej, jaką miałeś z Bossem?

Nie zostało już nic do powiedzenia, zamknęła więc oczy. Bardzo by chciała zasnąć. Ostatniej nocy niewiele spała, a natychmiast po wylądowaniu w Dallas będzie musiała pędzić do domu. Wolała nie myśleć o pracy, która się nagromadziła, gdy ona się zabawiała w kochankę miliardera.

Ku własnemu zdumieniu w pewnym momencie naprawdę zasnęła. Obudziła się pod dotykiem Joca. Jęknęła cicho i poczuła, że wciąż go pragnie.

- Obudź się. - W jego głosie była zaskakująca delikatność. - Musimy porozmawiać.

Kłęczał koło jej siedzenia, pochylając się tak blisko, że ich usta prawie się stykały. Oblizwała wargi i zobaczyła, jak w jego oczach zapala się coś mrocznego.

- Dolecieliśmy? Nie mogę uwierzyć, że znów zasnęłam.

## Noc fantazji

247

- Właśnie wylądowaliśmy. - Uśmiechnął się i rysy mu złagodniały, ale tylko na moment. Po chwili maska powróciła. - Musimy porozmawiać.

- A o czym? - spytała. Jakby nie wiedziała.

- Zamierzam polecić Maggie, mojej asystentce, żeby łączyła każdą twoją rozmowę. Nie wahaj się kontaktować, jeśli tylko będziesz czegoś potrzebować. Czegokolwiek.

- Włącznie z informacją o nieoczekiwanej ciąży?

- Zwłaszcza w tej sprawie.

Zabrakło czasu na dalszą rozmowę. Za drzwiami samolotu widniało rozświetlone, wilgotne Dallas. W pobliżu stały dwa pojazdy z włączonymi silnikami. Znana jej limuzyna i samochód osobowy. Pięć minut później siedziała w samochodzie, ze zniszczonym stetsonem w ręku. Joc stał obok, wpatrzony w jej twarz. Potem jego wzrok ześliznął się znacząco na jej brzuch. A potem zaskoczył ją pocałunkiem, tak namiętnym jak wszystkie z minionej nocy.

- Będę czekał na twój telefon - powiedział, po czym ruszył do swojej limuzyny.

Łzy stanęły Rosalyn w oczach. Co z nią nie tak? Powinna być zachwycona, że się go pozbyła ze swojego życia. Niepotrzebne jej były powodowane przez niego komplikacje. Nie powstrzymało jej to jednak przed marzeniami. O życiu, w którym Joc uśmiecha się do niej tak jak tuż przed wzięciem jej w ramiona. O utrzymanym na rękach dziecku, mającym ciemne włosy i oczy ojca. O domu wolnym od bolesnych wspomnień, za to wypełnionym śmiechem i radością

**Day Leciaire**

męża i dzieci. O kontynuacji dziedzictwa. O patrzeniu jak korzenie, głęboko zapuszczone przez nią w teksańską glebę, rozrastają się i wystrzeliwiają nowymi pędami w przyszłe pokolenia. Wcisnęła na głowę kapelusz, tak żeby zasłaniał jej twarz, i pozwoliła łzom płynąć.

Joc wszedł do limuzyny, zmuszając się, by nie patrzeć, jak samochód uwożący Rosalyn kieruje się w stronę rancza. Co się z nim dzieje? Powinien się cieszyć, że ma ją z głowy, nie potrzebował komplikacji, które się z nią wiązały. A już na pewno nie jej ciąży.

Lecz wyobraźnia tego nie słuchała. A wyobrażał sobie życie, w którym Rosalyn uśmiecha się do niego z pościeli. W którym trzyma na rękach dziecko o włosach tak ognistych jak jej. W którym jest dom pełen radości i śmiechu... żony i dzieci witających go każdego wieczoru. W którym ma dziedzictwo dotychczas pozostające zawsze poza jego zasięgiem.

Był go pozbawiony przez całe życie i przekonał sam siebie, że jest mu zbędne. Teraz jednak.

Limuzyna zwolniła, zbliżając się do biurowca, przeszklonej wieży sięgającej nieba jak buntowniczo uniesiony palec. Zimna, wyniosła, bezpieczna i samotna twierdza.

Tego właśnie chciał. Nie podniszczonego rancza prowadzonego przez stanowczo zbyt bystrego rudzielca. Pragnął władzy i kontroli. Może jednak uda się do tego dołożyć Rosalyn?

## Noc fantazji

249

Rosalyn stała w łazience i trzeci raz czytała instrukcję testu ciążowego, zdecydowana na pewno nie popełnić błędu. Wydawało się to bardzo proste. Kilka minut i w małym okienku pokaże się plus, o ile spotkanie z Jokiem trzy tygodnie temu miało skutki, albo minus, jeśli jest to tylko nietypowe opóźnienie. Użyła testu i czekała niecierpliwie, ze ściśniętym żołądkiem.

Niepewność powodowała, że miała wrażenie, że jej życie pędzi gdzieś na oślep. Marzyła o stabilizacji, bezpieczeństwie. Ostatnie trzy tygodnie były najtrudniejsze w jej życiu. Co parę minut Joc przychodził jej na myśl. Gapiła się wtedy w przestrzeń, przepełniona tęsknotą nie dp zaspokojenia. Piknął minutnik. Podniosła podłużny kawałek plastiku. W okienku widniał wielki, niebieski plus. Oparła się bezwładnie o umywalkę. Dobry Boże, jest w ciąży. Powinna czuć przerażenie, panikę. Dlaczego jest taka spokojna?

Położyła dłoń na brzuchu. Rosło w nim dziecko, jej i Joca. Dlaczego nie czuła nic poza... zachwytem? O niebiososa, została obdarzona dzieckiem! Dostała szansę, by znów mieć rodzinę. Poczwała napływające łzy, ku jej zdumieniu wywołane nie desperacją czy lękiem, tylko wdzięcznością. - Rosalyn! - rozległo się głośne wołanie Claire, pełne niepokoju. - Zejdź tutaj! Jak najszybciej! Zbiegła ze schodów. W korytarzu przy jadalni potknęła się o luźny chodnik i o mało nie poleciała na twarz. Przestraszyła się i przycisnęła dłoń do brzucha. Najwyższy czas

**Day Leclaire**

przybić to draństwo. Teraz nie mogła ryzykować, musiała dbać o dziecko.

- Co się stało? - spytała w holu. - Co ci jest?

- Stodoła - jęknęła Claire. - Stodoła się pali!

Kilka następnych godzin należało do najgorszych w jej życiu. Dzięki błyskawicznej reakcji pracowników uratowali konie. Lecz reszta, pomimo heroicznego wysiłków, spłonęła. Pokryci sadzą, brudni, mokrzy, ochrypli od dymu zebrali się w końcu wszyscy. Brygadzista odciągnął ją na bok, gdy Claire wspomagała wszystkich zimną wodą i kanapkami.

- Chyba musisz gdzieś zadzwonić - powiedział. Była tak zmęczona, że prawie nie miała siły się dziwić.

- O czym ty mówisz? Gdzie zadzwonić?

- Kiedy zginęły krowy, uznałem to za pecha. Potem zerwane ogrodzenie. Ginęły też cieleta, trochę to dziwne, ale niekoniecznie wynik przestępstwa. Teraz już nie ma żadnych wątpliwości, Rosalyn. Ten ogień podłożono. Ktoś ma coś do ciebie. Dowiedz się kto i zrób coś z tym.

Gapiała się na niego, oszołomiona.

- Na pewno się mylisz.

- O nie. Cała stodoła śmierdziała benzyną. - Brygadzista otarł twarz rękawem, rozmazując sadzę. - Mamy szczęście, że ocaliliśmy zwierzęta. Następnym razem możemy mieć go mniej.

- Kto mógłby coś takiego zrobić?

- Znam tylko jedną osobę, która chce położyć łapę na tym miejscu.

## **Noc fantazji**

**251**

- Nie, to nie może być Joc.

To prawda, pożądał jej posiadłości. Jednak nie zniżyłby się do takich metod. Na pewno nie naraziłby jej na niebezpieczeństwo. Ani dziecka, które mogła nosić.

Lecz może mógłby pomóc w wykryciu, kto jest za to odpowiedzialny?

- Załatwię to.

- Niedługo?

- Teraz - obiecała.

Ruszyła do jeepa, ale uświadomiła sobie, że przecież zaparkowała w zwykłym miejscu, pod daszkiem przy stodole. Jego wrak stał teraz w środku dymiących zgliszczy. Zabolało, ją to prawie tak jak utrata stodoły. Zacisnąwszy zęby, zawróciła do furgonetki używanej przez Duffa do wożenia poczty.

Czas się spotkać z człowiekiem, który wywrócił jej życie do góry nogami i którego pragnęła mieć na dłużej niż jedną noc. Sprawdzić, czy to ten sam, którego pamięta z Deseos... czy taki, który przedkłada interesy ponad wszystko.

Czas na spotkanie z ojcem jej dziecka.

Joc stał przy oknie biura i patrzył na rozciągające się przed nim miasto. Żar przedzierał się przez przyciemnione szkło, powietrze było nieco ciężkie.

Niech to szlag! Jak to możliwe, że spośród wszystkich znanych mu kobiet Rosalyn była jedyną potrafiącą go tak zaabsorbować? Była piękna, energiczna, dominująca, wspa-



**Day Leclair**

niała, promienna i miała własne zdanie. W dodatku nie spotkał bardziej namiętnej kobiety. Co w niej takiego jest?

Nie zliczyłby, ile razy brał za słuchawkę, by do niej zadzwonić, zażądać, by przyjechała. Ile razy polecał szoferowi zawieźć się do posiadłości Oakleyów, by za chwilę odwołać polecenie. W dodatku nie dość, że sama go zaabsorbowała, to jeszcze mogła nosić jego dziecko. W przeciwnym razie przecież zadzwoniłaby go powiadomić, że nic się nie wydarzyło.

Jeśli była w ciąży, istniało tylko jedno rozwiązanie sytuacji.

- Joc?

Zesztywniał, słysząc głos asystentki. Nie zauważył, jak wchodziła, co jasno pokazywało, jak poważny miał problem.

- Tak, Maggie? O co chodzi?

- Miałam wyjść na lunch, kiedy zadzwoniła ochrona. Zatrzymali kobietę, która domaga się natychmiastowego widzenia z tobą. Kazałam ją tu przysłać. To... to Rosalyn Oakley.

- Dziękuję, Maggie. Możesz iść na lunch. Poradzę sobie. Rudzielec powrócił. Tym razem nie będzie tak głupi,

żeby ją wypuścić. Zanim dzień się skończy, będzie ją miał tam, gdzie jej miejsce - w swoim łóżku.

Najwyraźniej dla zaspokojenia ich pragnień potrzeba więcej niż jednej nocy. Właściwie to wątpił, czy wystarczy cokolwiek mniej niż porządny, długi romans. A jeśli jest dziecko? Z tym też sobie poradzą.

## Noc fantazji

253

Otwarły się drzwi i oto była. Musiała się spieszyć, bo się nie przebrała, jakby zrobiła większość kobiet, wybierając się do byłego kochanka. Bez śladu makijażu. Skrzywił się, bo właściwie wyglądała, jakby wpadła do piwnicy z węglem. Włosy miała w nieładzie, nosiła znoszone dżinsy i flanelową koszulę. Ale jej pośpiech musiał być poważny, bo miała krzywo zapięte guziki i cała była wysmarowana sadzą.

Sadza!

- Co się stało? - spytał.

- Moja stodoła spłonęła - odparła z typową dla siebie bezpośredniością.

Przez większość życia Joc nie pozwalał, by emocje przesłaniały mu chłodny rozsądek. Lecz Rosalyn Oakley w dwie sekundy zdołała złamać tę jego zasadę.

Podszedł szybko do niej i zaczął starannie oglądać.

- Jesteś ranna?

- Wszystko w porządku, jestem tylko zmęczona i brudna.

- Twój ludzie? Zwierzęta?

- Wszyscy bezpieczni. - Podniosła na niego wzrok pełen złości i lęku. - Ktoś ją podpalił, Joc. Były też inne kłopoty. Przecięte ogrodzenia, chorujące bydło, ginące cielęta. Lecz dopiero dziś szef moich pracowników zyskał pewność, że pożar został wywołany celowo.

Zamarł, pełen podejrzeń. Czyżby sądziła, że był w to zamieszany? Czy to dlatego pojawiła się tu po trzech tygodniach milczenia?

- A ty przyjechałaś tu, bo...

**Day Leclair**

- Powiedziałeś, żeby się z tobą skontaktować, gdybym czegoś potrzebowała. Czegokolwiek. To były słowa rzucone na wiatr czy mówiłeś poważnie?

- Całkowicie poważnie.

Na jej twarzy odmalowała się ulga, odsunęła się od niego i przeszła na drugą stronę biura.

- Nawet nie wiesz, jak trudno mi powiedzieć to właśnie tobie, ale potrzebuję twojej pomocy.

- Masz ją.

- Czy mógłbyś się dowiedzieć, kto to robi, i powstrzymać go?

- Najpierw muszę ci zadać jedno pytanie.

- Proszę.

- Skąd wiesz, że to nie ja stoję za tymi wypadkami?

Jej gniew gdzieś zniknął, pobladła jak papier. Zachłysnęła się.

- O Boże, Joc - szepnęła. Zrobiła krok w jego stronę i uniosła rękę. - Sądysz, że przyjechałam, bo cię podejrzewam?

- A podejrzewasz? W końcu pokazałem ci, jaki jestem, gdy załatwiałem sprawę z byłymi wspólnikami na Deseos.

Tylko wzruszyła ramionami.

- Ukaralesz wspólników, którzy chcieli ci ukraść wyspę po tym, jak podałeś im pomocną dłoń. Może i nie znam cię zbyt długo, ale wystarczająco, by wiedzieć, że nie robisz interesów, kradnąc bydło czy paląc domy.

Działo się coś dziwnego. Patrzył na Rosalyn spoglądają-

## Noc fantazji

255

całą na niego z absolutną ufnością. Widział w jej oczach tylko pewność, że jego słowu należy wierzyć.

- Nikt nigdy mi nie ufał. - Czuł się, jakby ktoś wydzierał z niego te słowa. - Bezustannie musiałem bronić swego honoru. Dowodzić, że nie jestem takim samym oszustem jak mój ojciec.

- Bardzo mi przykro, Joc. To musiało być dla ciebie okropne.

- Nie, nie zrozumiałaś. - Spróbował jeszcze raz. - Nie zażądałaś dowodu, że nie jestem w to zamieszany. Nie zakwestionowałaś mojej prawdomówności. Zaakceptowałaś moje słowo bez wahania czy wątpliwości.

- Och. - Zamyśliła się na chwilę, a potem spytała bardzo poważnie. - A nie powinnam?

- Nabijasz się ze mnie? - zdumiał się.

- Troszkę. - Pokazała dwa palce tuż obok siebie. - Odrobinę. Takim łatwym celem jesteś w tej sprawie.

- Daj mi prostą odpowiedź, Rosalyn. Ufasz mi czy nie? Tym razem nie wahała się ani przez moment.

- Tak. Ufam ci.

- Teraz mam do ciebie jeszcze ważniejsze pytanie. - Postanowił być równie bezpośredni jak ona. - Czy jesteś w ciąży?

- Tak, jestem w ciąży. Dowiedziałam się tuż przed pożarem stodoły.

Choć ona mu ufała, jemu trudno było zrobić to samo.

- Zamierzałaś mi powiedzieć? To znaczy, gdyby stodoła nie spłonęła?

**Day Leclair**

- Oczywiście! Czegoś takiego bym przed tobą nie ukrywała! Przecież obiecałam.
  - W porządku. Załatwię wizytę u lekarza, gdy tylko dojedziemy do mnie.
  - Zaraz, zaraz, zwolnij, Arnaud. Co to znaczy: „gdy tylko dojedziemy do mnie”?
  - Czy muszę to wyjaśniać, moja droga? Jesteś w ciąży. Ktoś niszczy twoją własność i zgodnie z twoimi własnymi słowami jest coraz gorzej. W Longhorn nie jesteś bezpieczna. - Podszedł tuż do niej.
  - Żeby było jasne, to nie podlega negocjacom.
- Już otworzyła usta, by zaprotestować, ale jedno spojrzenie na jego twarz wystarczyło, by zrezygnowała. Opanowanie złości zajęło jej chwilę, dopiero potem spytała.
- A co z moimi pracownikami i zwierzętami? Jeśli ja nie jestem bezpieczna, to oni wszyscy też.
  - Zorganizuję dla nich ochronę.
  - Jeśli zamierzasz chronić moich ludzi i własność, to nie ma żadnego powodu, bym nie wracała do domu.
  - Jest jeden. -Jaki?
  - Nie pozwolę na to.
- Joc nie dał jej szansy na odpowiedź, za to zrobił coś, czego pragnął od pierwszej chwili, gdy weszła do biura. Wziął ją w ramiona i zaczął całować. Zareagowała, jakby nie było tych trzech tygodni przerwy. Aż pożałował, że nie są na Deseos, że to nie tropikalna, parna noc. Wplótł palce w jej

## **Noc fantazji**

**257**

włosy i przechylił jej głowę, by ułatwić sobie dostęp do ust. Pragnął jej tu i teraz. Już. W każdy możliwy sposób. Czuł, że być może nigdy nie zdoła się nią nasycić.

Z wyraźną niechęcią przerwała pocałunek i odsunęła się od niego.

- To nie fair - poskarżyła się, próbując jakoś uładzić włosy i koszulę. Jęknęła, zobaczywszy, że połowę guzików ma rozpiętą. Poprawianie ich jakoś jej nie szło. - Poza tym wciąż nie powiedziałeś, dlaczego nie pozwolisz mi wrócić do Longhorn, skoro ranczo ma być chronione. Nie możesz tak po prostu rzucić mi rozkazu i oczekiwać, że go posłucham.

- W takim razie powiem inaczej. - Przyciągnął ją do siebie i objął za brzuch. - Zrobię wszystko co w mojej mocy, by chronić ciebie i moje dziecko.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

Powinna się była tego spodziewać. Wiedziała, że Joc jest dominantem, więc porwanie jego samochodem do wielkiej posiadłości, którą nazywał domem, nie powinno jej dziwić. Za to kompletnym zaskoczeniem było dla niej to, jak ją traktował przez następne kilka dni.

Z początku podchodził do niej, jakby była zrobiona z delikatnego kryształu i nawet głośniejsze słowo mogło ją roztrzaskać. Po wizycie u lekarza, by potwierdzić ciążę i znakomity stan jej zdrowia, właściwie nie wspominał o dziecku. Nie spodziewała się, by długo pozostał tak powściągliwy.

Pod koniec tygodnia odkryła, że mieszkanie z Tokiem wcale nie jest dla niej tak przykre, jak się spodziewała, choć dom, który po cichu nazywała półpałacem, okazał się trochę mało przytulny. Nie z powodu wielkości, tylko wystroju wnętrza. Był nieprzyjemnie formalny. Nie nazwałaby takiej siedziby domem. Nieco później różnice pomiędzy nią i Tokiem stawały się coraz bardziej widoczne i zaczęło ją to drażnić.

Jak miała sobie poradzić z tymi różnicami? Czy oczeki-

## Noc fantazji

259

wał, że ich dziecko wejdzie w jego świat? A jak ona ma się dopasować? Ta myśl budziła w niej coraz większą panikę.

Codziennie zajęcia Joca też stanowiły problem. Spotykali się co rano przy śniadaniu, kiedy młody, energiczny człowiek przekazywał mu raport zawierający chyba wszystko co możliwe: wiadomości o wydarzeniach z nocy, rozkład zajęć na cały dzień, wszelkie kontakty, które tylko szef mógł załatwić. W końcu Joc dodał jeszcze jedną osobę, dziewczynę, która przekazywała Rosalyn podobne sprawozdanie o stanie rancza i o wszelkich problemach w Longhorn od czasu ich powrotu z Deseos. Pod koniec następnego tygodnia miała tego serdecznie dość.

W samym środku podwójnych raportów odsunęła krzesło. "Zabrała talerz, filiżankę z kawą i uciekła do słonecznego pokoju obok kuchni, przypominającego nieco patio na Deseos. Jego główną zaletą były wielkie okna wpuszczające mnóstwo porannego słońca i zapewniające rozległy widok na ogród. Postawiła naczynia na małym stoliku o szklanym blacie oprawnym w kute żelazo i rozsiadła się w głębokim fotelu. Przeciągnęła się z głębokim westchnieniem. Lepiej, dużo lepiej.

- Jak widzę, nie obchodzą cię poranne odprawy -dobiegł ją od drzwi głos Joca. Nawet nie raczyła się odwrócić.

- W gruncie rzeczy nie.

- Sądziłem, że zainteresują cię informacje o wysiłkach, jakie podejmuję w celu odkrycia, kto jest odpowiedzialny



**Day Leclair**

za problemy w Longhorn. Przynajmniej wiemy już, że nie prześladowają cię ludzie przeze mnie zwolnieni. Teraz jednak odwróciła się do niego.

- Rzeczywiście dobrze jest to wiedzieć. Naprawdę, Joc, ogromnie doceniam wszystko, co robisz.

- Tylko nie doceniasz tego przy śniadaniu.

- Pracuję równie ciężko jak ty, a przynajmniej zawsze tak było. Ale nie poświęcam temu każdej minuty życia. I nie pozwalam pracy wpływać na moje procesy trawienne.

- Znajdziemy ludzi odpowiedzialnych za twoje kłopoty. Przyrzekam. W międzyczasie... - Usiadł na sąsiednim fotelu i pociągnął łyk przyniesionej kawy. - Miło.

Kilka minut upłynęło w milczeniu. Spokojnie skończyła śniadanie, a potem się odezwała.

- Skoro już mówimy o zmianach zwyczajów, chciałabym wprowadzić jeszcze jedną.

- Dopóki nie chodzi o twój powrót do Longhorn - odparł ostrzejszym tonem - możesz zmieniać, co tylko chcesz.

- Nie pytasz, o co chodzi, zanim wyrazisz zgodę? To do ciebie niepodobne.

- Czy ta zmiana podlega negocjacom? - Oczy błysnęły mu szelmowsko. - Zawsze chętnie będę się z tobą układał.

- Jeśli odmówisz, wyjeżdżam.

- Tak sądziłem. Skoro tak, mów, czego chcesz.

- Znakomicie. - Dopiła kawę i rozsiadła się wygodniej. - Przenoszę się do twojej sypialni.

## Noc fantazji

261

Filizanka wypadła mu z ręki.

- Co powiedziałaś?

- Słyszałeś. - Popatrzyła na niego najspokojniej, jak umiała. - Z dzieckiem wszystko jest w porządku. Jestem zdrowa. Nie musisz mnie traktować, jakbym była ze szkła. Myślałam, że po paru dniach się przyzwyczaisz. Ale to już zaczyna być śmieszne.

Patrzył na nią nieruchomo przez nieskończenie długą chwilę, potem zerwał się na równe nogi.

Wyciągnął ją z fotela i pędem zaprowadził do swojego pokoju. Ledwie zamknęły się za nim drzwi, chwycił ją w objęcia.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? - spytał. - Bo kiedy trafisz do mojego łóżka, już nigdy cię z niego nie wypuszczę.

- Absolutnie.

Pocałował ją. Odpowiedziała, otwierając się całkowicie. Łóżko wybiegło im samo na spotkanie.

Następnych kilka minut upłynęło na szaleńczych zapasach, by jak najszybciej pozbawić się nawzajem każdego skrawka ubrania.

Joc zaczął szaleńcze pocałunki na jej ustach, kolejne wypadały coraz niżej, a gdy dotarł do jej brzucha, przytulił się do niej i zaczął szeptać coś do nienarodzonego potomka.

Rosalyn poczuła łzy napływające do oczu. Fascynował ją ten mężczyzna, twardy, samotny człowiek, który widział najgorsze rzeczy, a postanowił zmierzać ku najlepszym. Właśnie po raz pierwszy ucałował ich wspólne dziecko, bez słów ujawniając emocje, których istnieniu tak mocno zaprzeczał. Każde jego dotknięcie było tęsknotą, pragnieniem związku, przyna-

**Day Leclair**

leżności. Czy naprawdę nie rozumiał, jak ważne są korzenie? Jakoś zdoła mu to kiedyś pokazać. Wplotła palce w jego włosy i przyciągnęła go, ofiarowując mu jedyny dar, jakim mogła całkowicie swobodnie dysponować. Siebie.

Kilka godzin później Joc oparł się na łokciu i pocałował ją.

- Pod koniec miesiąca uczestniczę w imprezie charytatywnej, od której nie mogę się wykręcić. Może dlatego, że jestem gospodarzem. Będę wdzięczny, jeśli pójdziesz tam ze mną. A zanim zaczniesz się usprawiedliwiać, że nie masz có na siebie włożyć, pamiętaj, że wciąż mam tę suknię z De-seos.

Już miała odmówić, ale zawahała się, zaciekawiona.

- Dlaczego chcesz mnie tam zabrać?

- Bo lubię twoje towarzystwo. - Pogłaskał ją delikatnie, wywołując dreszcz. - Ale nie będę cię nawet namawiał. To zaproszenie bez żadnych haczyków.

- Nie pasowałam tam - mruknęła.

- Twoja rodzina należy do najstarszych w Teksasie. -Zdziwiła się, dopóki nie usłyszała reszty komentarza. - Będiesz tam pasować dużo lepiej niż ja.

- Ach. - Zagryzła lekko wargę, bo coś jej przyszło do głowy. Nazwisko Hollister również było wśród najstarszych w stanie. - Czy oni też tam będą?

Nawet nie udawał, że nie wie, o kogo jej chodzi.

- Prawdopodobnie. Moi kuzyni Hollisterowie pojawiają

## Noc fantazji

263

się na większości imprez charytatywnych. Skoro jednak to ja jestem gospodarzem, może będziemy mieli szczęście i ich obecność zostanie nam oszczędzona.

- Jak oni reagują na takie spotkania?

- Począwszy od morderczych spojrzeń, poprzez głośnie domaganie się gigantycznych darowizn, aż do zachowywania się, jakbym był czymś paskudnym, w co właśnie wdepnęli. Wszystko zależy od tego, czego ode mnie chcą.

- Współczuję.

- Nie przejmuj się. Przyzwyczailem się.

Czy naprawdę w to wierzył, czy to był tylko sposób na radzenie sobie z bólem?

- Dobrze, pojedę z tobą.

- Z litości?

- Myślisz, że lituję się nad wielkim Jokiem Arnaudem? - Udało jej się prychnąć. - Ani trochę. Poza tym... - rzuciła mu spojrzenie z ukosa - chcesz jeszcze raz zobaczyć mnie w tej sukni czy nie?

- Jasne, że chcę!

- To w czym problem?

- W tym, że przez cały czas będę miał ochotę cię z niej obdrzeć - zniżył głos do namiętnego szeptu. - Przynajmniej już wiem, że mi na to pozwolisz....

- No to o co chodzi w dzisiejszej imprezie? - spytała kilka tygodni później, w drodze na przyjęcie. - O ile w ogóle o coś chodzi.

**Day Leclair**

- Dobroczynność. Zbieramy fundusze dla Narodowego Programu Dawców Szpiku.
  - Wspaniale. Mam nadzieję, że użyłeś swoich wpływów, by ludzie zrobili coś więcej oprócz szastania pieniędzmi. Żeby wpisali się do rejestru.
  - Właśnie dlatego tak mnie fascynujesz. Nie zwracasz uwagi na szanse. Zawsze jesteś gotowa walczyć o przegranych.
  - Muszę przyznać, że w tej chwili właśnie się czuję jedną z nich. - Gdy rzucił jej zdziwione spojrzenie, dodała: - Dziś wieczorem gram poza swoją ligą.
  - Przyzwyczajaj się.
  - Co to znaczy?
  - To, co powiedziałem. Z czasem przywykniesz do tych sztywnych imprez i przestaniesz się nimi przejmować.
  - Posłuchaj mnie, Joc. Nie mam zamiaru przyzwyczajając się do żadnego aspektu twojego stylu życia. Ja nie należę do tego świata. Mój to ranczo i para dzinsów tak starych i zno-
  - szonych, że same oplatają koński brzuch. Nie pasuję do tego dziwnego stroju, w którym się czuję jak... jak...
- Nie zdołała wydusić z siebie słowa „utrzymanka”, choć po tym, jak Joc zeszywniał, zorientowała się, że i tak zrozumiał. Oczy zabłyśły mu groźnie w mroku.
- Powiesz mi, jeśli ktoś choćby zasugeruje ci coś takiego- A ty co wtedy? - zaciekawiała się. - Zrobisz mu awanturę? Będziesz grozić? Zniszczysz za powiedzenie prawdy? Nie rozumiesz? Weszłam w naszą relację z pełną świadomo-

## Noc fantazji

265

mością. Chciałam się z tobą przespać, raz w życiu zrobić coś szalonego. I zrobiłam. Jednak to ma konsekwencje i zapłacę tę cenę. Nie oczekuj jednak, że będę się jeszcze z tego cieszyć.

- Uważasz, że nasze dziecko jest ceną, którą musisz zapłacić? - ciął słowami jak biczem. - Czy tak o nim myślisz?

- Nie, oczywiście, że nie. Nie chodziło mi o dziecko, tylko o dzisiejszy wyjazd. Noszenie tego czegoś jest tą ceną.

Wyraźnie nie wiedział, czy się złościć, czy śmiać.

- Większość kobiet nie uważałaby dzisiejszego wieczoru za karę.

, - Ha, ja to nie większość kobiet - prychnęła.

- To prawda. - Wyciągnął rękę i musnął palcami jej policzek. - Chcę, żebyś była po prostu sobą. Było w moim życiu kilka kobiet, które usiłowały się dopasować do moich oczekiwań. Nie interesowały mnie. Ty tak

- Z powodu mojego rancza. I dziecka, które noszę.

- Nie, z powodu tego, co robisz ze mną za każdym razem, gdy jesteś obok. Myślałem, że jedna noc temu zaradzi. Nieprawda. Nie wystarczyło tych kilka tygodni ani to, co robiliśmy tuż przed wyjazdem. Właściwie to pragnę cię jeszcze bardziej.

- To się nie uda, Joc. Pochodzimy z zupełnie innych światów, zbyt wiele nas dzieli, żeby cokolwiek z tego wyszło. Moje priorytety to dziecko i ranczo, które wciąż zamierzasz mi odebrać.

**Day Leclair**

Zraniła go. Nie sądziła, że to w ogóle możliwe, ale widziała ból, który na chwilę ściągnął jego rysy.

- Joc...

Przerwał jej bez skrpułów.

- Nie. Rozsądek mi mówi, że wciąż mi nie ufasz, bo nadal zamierzam kupić Longhorn.

- Ufam ci.

- Jeszcze nie. Jeszcze nie całkowicie. Nie, gdy chodzi o dziecko lub o ranczo. Były jednak chwile, gdy nie miałaś czasu na myślenie, gdy musiałaś reagować instynktownie. Tylko te się liczą, bo za każdym razem w takich sytuacjach ufałaś mi. Poleciałaś ze mną na Deseos. Kochałaś się ze mną. Wierzyłaś, gdy powiedziałem, że to nie ja jestem odpowiedzialny za kłopoty twojego rancza. Wierzyłaś mi tylko na słowo. - Przechylił głowę. - Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się dlaczego?

Powiedziawszy to, wysiadł, a ona została, osłupiała. To było znakomite pytanie. W dodatku takie, na które nie miała odwagi sobie odpowiedzieć... bo mógłby się rozpaść jej świat.

Od chwili wejścia na przyjęcie Joc bezbłędnie grał swoją rolę. Nikt nie był bardziej czarujący, wytworny czy błyskotliwy.

Rosalyn przyglądała się temu przedstawieniu z rosnącą konsternacją. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo likwidował przed nią swoje bariery. Nie znała obecne-

## Noc fantazji

267

go, nieprzyjemnego dla niej wcielenia, choć podejrzewała, że większość gości wręcz przeciwnie. Z całych sił tęskniła za człowiekiem, który porwał ją na Deseos. Pragnęła swojego wilka z powrotem. Żywiłowego. O bystrych oczach. Bezwzględny. Kochającego.

Rosalyn tak mocno skupiła się na Jocu i swoich do niego uczuciach, że z początku nie zwróciła uwagi na to, jak ludzie zareagowali na nią. Zaskoczyło ją, że większość przedstawionych przez Joca osób była nastawiona przyjaźnie, choć nie potrafiła powiedzieć, dlaczego spodziewała się czegoś innego. Niektórzy byli zaciekawieni, inni wyraźnie ją szacowali niczym nową figurę na szachownicy. No cóż, wkrótce odkryją, że ta figura niewiele może i nie przyniesie korzyści. Może powinna im sprawę ułatwić i nabić sobie na czole stempel z napisem „pionek”.

W połowie wieczoru zdała sobie sprawę, że właściwie dobrze się bawi. A przynajmniej było tak do chwili, gdy podeszła do nich kobieta wyglądająca prawie jak bliźniaczka Joca. Na jej pełnych ustach igrał lodowaty uśmiech. Joc skłonił się lekko.

- MacKenzie - powitał ją sztywno. - Mam nadzieję, że przyjęcie ci się podoba. W bufecie jest duży zapas kwaśnych winogron, które zamówiłem specjalnie dla ciebie.

- Myślisz, że wygrałeś? - Zaśmiała się. - Deseos to był tylko pierwszy serw w naszym meczu.

- i przegrałaś go.



**Day Leclair**

- Fakt. Ale następny będzie mój. Oczywiście, jeśli sprzedasz mi siedzibę Hollisterów, w ogóle go nie będzie.

- Niemożliwe, MacKenzie. Nie mogłabyś sobie na nią pozwolić, nawet gdyby była na sprzedaż.

W jej oczach błysnął gniew.

- Coś ty jej zrobił? - spytała zduszonym głosem. - Jak ci się udało tę posiadłość ukraść mojej matce? Co takiego na nią miałaś, że nic nam nie mówiąc, dziesięć lat temu sprzedała ci dom? Powiedz mi, Joc! Jaki sekret odkryłeś, że musiała to zrobić?

- Sugeruję, żebyś zadała te pytania swojej matce. Zacisnęła dłonie w pięści, całą sobą wyrażając frustrację.

- Zrobiłam to. Nie chce mi powiedzieć. Pytam raz za razem, od kiedy tylko się dowiedziałam. Już od roku.

- Bo nie ma nic do powiedzenia - odpowiedział z zaskakującą łagodnością. - Może ma złe wspomnienia związane z tą ziemią. Byłoby to zrozumiałe. Działalność Bossa mogła być dla niej niełatwa, podobnie jak dla nas wszystkich.

- Nie chcę twojego współczucia. Fakt, że się dorobiłeś na wydzieraniu oszczędności życia wdowom, nie oznacza, że ktokolwiek cię szanuje czy lubi. Oni tylko chcą twoich pieniędzy. A może ta historia na Deseos nie nauczyła cię, jak niewiele znaczysz dla tak zwanych przyjaciół? - Spojrzała na Rosalyn i oczy jej się zwężyły. - A ty popełniasz błąd, wiążąc się z nim. Pożałujesz tego. Obiecuję.

- Lepiej nie. - Głos Joca był ostrzejszy niż kiedykolwiek.

## Noc fantazji

269

- Chcesz się dobrać do mnie, w porządku. Ale Rosalyn do tego nie mieszaj.
- Jeśli nie chcesz, by jej się dostało, nie wystawiaj jej na ostrzał. - MacKenzie odwróciła się i odeszła. Joc natychmiast porwał Rosalyn na parkiet.
- Nie przejmuj się. Lepiej, żeby nie widziała, że udało jej się ciebie dotknąć.
- Nie mam takiej praktyki w ukrywaniu uczuć jak ty -warknęła, starając się przybrać jak najspokojniejszy wyraz twarzy. - Tak z ciekawości... Dlaczego nie sprzedasz jej posiadłości Hollisterów?
- Przede wszystkim nie stać jej na nią.
- , - Nie kłam, Joc. Jeśli nie chcesz mi powiedzieć, w porządku. Ale to nie o pieniądze tu chodzi. Nie chcesz, by posiadała tę ziemię, bo inaczej zażądałbyś takiej ceny, że mogłaby sobie na nią pozwolić. - Milczał, więc drążyła dalej.
- Wiesz, zatrzymywanie posiadłości Hollisterów nie pasuje mi do tego, co mówiłeś o swoim podejściu do rodziny. Jesteś pewien, że ta ziemia to dla ciebie nie więcej niż kawał terenu? Może nie chcesz sprzedać, bo dzięki niej masz związek ze swoimi korzeniami?
- Ciekawa teoria, ale mylna. Zawrzyjmy pakt.
- Jaki pakt?
- Przez następne dziesięć minut wszystko, co sobie powiemy, będzie prawdą. Zgoda? - Kiedy kiwnęła głową, kontynuował: - Gardzę tym, co mój ojciec zrobił nam wszystkim. Hollisterom. Mojej matce. Mojej siostrze i mnie. Nie

**Day Leclair**

będę mówił o powodach, dla których kupiłem tę ziemię, ale zaufaj mi, nie mają nic wspólnego z nierozwiązanymi problemami z ojcem.

- W takim razie z czym?

- Nie powiem. A teraz moja kolej. Pierwsze pytanie. Kiedy po raz pierwszy weszłaś do sali konferencyjnej, poczułaś do mnie pociąg, prawda?

W porządku, na to mogła odpowiedzieć ze sporą dozą szczerości.

- Tak, i byłam tym bardzo zakłopotana.

- Wyobrażam sobie.

- Byłam na ciebie wściekła, że nasłałeś na mnie zbirów. Nienawidziłam cię za nieustanne próby zmuszenia mnie do sprzedaży rancza. A kiedy szłam walczyć z tobą, przypuszczałam, że ta nienawiść jeszcze wzrośnie. - Jej uśmiech zrobił się gorzki. Ależ była głupia. - Wcale tak nie było.

Poczuła, jak zeszywniał.

- Chyba żartujesz.

- Wcale nie. - Przyznanie się do tego było prawie tak samo trudne jak w chwili, gdy zdała sobie z tego sprawę. - Wcale mi się to nie podoba, rozumiesz.

- Owszem. - Odczekał chwilę, po czym nacisnął mocniej. - A kiedy podaliśmy sobie ręce? Pamiętasz? Rosalyn zamarła. W tej chwili zrozumiała jego plan, co chciał osiągnąć tymi pytaniami. Chciał, żeby pamiętała. To, jak reagowała na niego, co czuła, jak bardzo go pragnęła. Chciała skłamać. Bardzo. Ale zgodziła się odpowia-

## Noc fantazji

271

dać szczerze na pytania, więc choćby się waliło i paliło, zrobi to - nawet jeśli w ten sposób zniszczy ochronne bariery wzniesione w duszy.

- Wolałabym zapomnieć tamtą chwilę.

- Ale nie potrafisz, tak samo jak ja.

Milczała. Po chwili muzyka umilkła. Poprowadził ją przez liczne drzwi do ogrodu. Zapadał zmierzch, ale ścieżki jeszcze były dobrze widoczne w miękkim świetle.

- Nie odpowiedziałaś mi - odezwał się Joc. - Co poczułaś, gdy dotknęliśmy się po raz pierwszy?

- To był nic nieznaczący dotyk - szepnęła. - Po prostu dwie obce osoby podające sobie ręce.

- Lecz w jednej chwili wzbudził coś.

- Stworzył więź. - Zatrzymała się w małej niszy utworzonej przez krzewy bzu i zamknęła oczy, chcąc się odciąć od niego, ale to tylko wzmocniło świadomość jego obecności, uwrażliwiając inne zmysły.

O niebiososa, jak bardzo go pragnęła!

- Czulałam do ciebie pociąg - przyznała. - Silniejszy niż do kogokolwiek w życiu.

- A w Longhorn? Gdy odgarnąłem ci włosy z twarzy? Pamiętasz swoją reakcję?

- A jakie to ma znaczenie?

- Czulaś to? Żar? Więź?

- Oczywiście, że tak. - Otworzyła oczy. - Przepływ prądu i krótkie spięcia, wszystko skapanie w żądzę.

- Tak silny był nasz wzajemny pociąg przed nocą na De-

**Day Leclair**

seos. Zanim poszliśmy do łóżka. Tak było od samego początku. Nic się nie zmieniło, prawda? Moim zdaniem to pożądanie od czasu naszej wspólnej nocy nasila się, za każdym dotknięciem, pocałunkiem. Prawda?

- Tak. - Chciało jej się płakać. - Nie mogę trzymać rąk z dala od ciebie. I nie chcę.

Musiła teraz na niego popatrzeć i... wszystko wróciło. Jak za pierwszym razem. Fala żaru, desperackie pożądanie, które pojawiały się za każdym razem, gdy znaleźli się na wyciągnięcie ręki. Schylił się do jej warg. Spodziewała się pocałunku zaborczego, agresywnego, mającego przełamać jej opór. I przełamał, ale wcale nie siłą, tylko delikatnie, wykorzystując wzajemną miękkość, pełną radości namiętność. Co gorsza, był tylko zapowiedzią, sugestią tego, co więcej może się zdarzyć.

- Dlaczego to robisz? - zapytała niepewnie. - Czego chcesz?

- Nosisz moje dziecko. Chcę, żebyś wyszła za mnie.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Odrzuciła mnie bez wahania, Ano. - Joc krążył po biurze, czekając niecierpliwie na odpowiedź siostry.
- Niech zgadnę. Zaproponowałeś jej porozumienie biznesowe, a nie małżeństwo.
- Nie jestem aż tak głupi - odparł, urażony.
- Och, doprawdy? Rozmawiam z Jokiem Arnaudem? - Postukała paznokciem w mikrofon. - Halo? Halo? Kim pan jest i co pan zrobił z moim braciszkiem?
- Niech to diabli, Ano...
- Mowy nie ma, Joc. Nie wywiniesz się tak łatwo. Pozwól, że odświeżę ci pamięć, drogi bracie. Jesteś tym samym człowiekiem, który spisał kontrakt z księciem Lan-derem Montgomerym, włączając do niego małżeństwo ze mną jako klauzulę, czy może nie?
- Rosalyn jest ze mną w ciąży.
- Spytałabym, jak do tego doszło - po bardzo długiej chwili odezwała się powoli Ana - ale zakładam, że w tradycyjny sposób. Jestem zaskoczona. Nie, wróc. Nie zaskoczona, tylko totalnie zszokowana. Jesteś zazwyczaj taki skrupulatny w tych sprawach.

**Day Leclair**

- Możemy zmienić temat? - warknął przez zaciśnięte zęby. - Stało się. A ona nie chce za mnie wyjść.
  - Chyba nie oświadczyłeś się, gdy się dowiedziałeś o ciąży?
  - Oczywiście, że tak. A jaki miałem wybór?
  - O rany, Joc. Jak na tak bystrego człowieka bywasz czasami głupi niczym but z lewej nogi. Zaczekaj, właśnie wszedł Lander. - Po kilku chwilach przyciszonej rozmowy Ana odezwała się ponownie: - Mój mąż prosi, by ci coś przekazać.
- Joc nerwowo przeczesał palcami włosy.
- Przypomniał swoje ostrzeżenie, że pewnego dnia zostaniesz zapędzony do narożnika w taki sam sposób, w jaki zapędziłeś jego. - Głos siostry zrobił się chłodny. - To chyba verdoniańska wersja powiedzonka „A nie mówiłem?”.
  - Zadzwoń do ciebie po poradę, Ano - prychnął Joc. - A nie po to, żebyście razem z tym twoim księciem nie całkiem z bajki wytykali mi moje błędy.
  - Dobrze. W takim razie oto moja rada: kobiety chcą, by się z nimi żenić z miłości. To wszystko. Już miał jej odpowiedzieć, ale zmilczał. Miłość. Niech to szlag. Dlaczego to musi być miłość? Potrafił wygrać negocjacje dotyczące dowolnej rzeczy. Tylko nie tego. Troszczył się o Rosalyn. Pragnął jej z niepojętą pasją. Ale miłość? Nigdy nie zaufał aż tak bardzo żadnej kobiecie,
  - Musi istnieć jakaś alternatywa. Co innego mogę zrobić? - spytał rozpaczliwie.
  - No cóż, zawsze możesz pójść w ślady Landera i ogłosić

## Noc fantazji

275

zaręczyny w prasie. Odradzałabym jednak Wątpię, by Rosalyn przyjęła to lepiej ode mnie.

- Dzięki, Ano. Zastanowię się.

- A tak przy okazji, kiedy dziecko ma się urodzić?

- W połowie lutego - rzucił nieuważnie.

Może by się zgodziła, gdyby zaproponował rezygnację ze starań o kupno Longhorn? Z kimkolwiek innym na pewno by to zadziało. Przewidywał jednak, że Rosalyn poczułaby na pewno co innego niż wdzięczność.

- Fantastycznie! - ucieszyła się Ana. - Kuzyni będą mieli wspólne urodziny.

Dopiero po dłuższej chwili do niego dotarło.

- Co? Ano, jesteś w ciąży?

- Punkt dla finansowego geniusza! - Roześmiała się. -Może jednak nie jesteś aż tak głupi. Pogadamy później, Joc. Powodzenia z Rosalyn i informuj mnie o rozwoju wydarzeń - przerwała połączenie.

Joc rzucił telefon i oparł się o biurko. Musiało istnieć wyjście z tej kłopotliwej sytuacji. Coś, czego Rosalyn pragnęła wystarczająco mocno, żeby się zgodzić na małżeństwo. Żeby wygrać, musiał tylko znaleźć odpowiednią dźwignię. Nie będzie przecież mówił o miłości tam, gdzie jej nie ma. A nie kochał jej na pewno. Doszedłszy do tego wniosku, ruszył na poszukiwanie swojej kobiety, by rozpocząć negocjacje.

Rosalyn już dobrze po północy wśliznęła się do pokoju, który dzieliła z Jokiem. Gdy tylko wrócili z przyjęcia, pope-



**Day Leclair**

działa do kuchni, marząc o przekąsce, a on poszedł zadzwonić. Nie wiedziała, ile to potrwa, podejrzewała jednak, że będzie chciał wrócić do tematu małżeństwa, którego udało jej się unikać przez resztę przyjęcia.

Teraz najbardziej chciała się pozbyć tego stroju i włożyć coś wygodnego, przede wszystkim z czystej bawełny. Zrzuciła pantofle na wysokim obcasie i sięgnęła do suwaka na plecach. Trafiła na jego palce.

- Pomogę - mruknął.

- Nie słyszałam, jak wszedłeś.

- Byłaś zamyślona.

Pomógł jej zdjąć i suknię, i stringi, a potem zarzucił na nią koszulę nocną sprawiającą wrażenie bawełnianej. Pomacała materiał.

- To jest czysta bawełna - ucieszyła się. - Skąd się tu wzięła?

- Kupiłem ją. Zauważyłem, że w innych ode mnie jest ci niezbyt wygodnie.

- Wszystkie są jedwabne, a ja się przyzwyczyłam do nieco prostszych rzeczy. - Jeszcze raz zbadala materiał, odkrywając, że to egipska odmiana, dużo delikatniejsza od tej, którą miała w domu. -

Dziękuję.

Poszedł się rozebrać, a ona pochyliła głowę, kładąc dłoń na brzuchu i zachwycając się rosnącym w nim życiem. Dobry Boże, dziecko. Chwilę później Joc przykucnął przed nią i położył swoją dłoń obok jej.

- Musimy chronić to maleństwo - powiedział.

## Noc fantazji

277

Cofnęła się, zbierając resztki sił. Czas zakończyć sprawę jego oświadczyn.

- Wiesz, że ta rozmowa była nieunikniona. - Poszedł za nią. Głos miał spokojny. - Musiałaś podejrzewać, że nie pozwolę swojemu dziecku przyjść na świat jako bękart. Doświadczyłem tego i nie pozwolę, by to się przytrafiło mojemu potomkowi. ,

- On, czy ona, będzie Oakleyem, a nie żadnym bękartem. I koniec dyskusji na ten temat.

Przyparł ją do ściany, nie mogła się dalej cofać.

- Błąd, moja droga. Będzie Arnaudem i koniec. Jestem gotów do ustępstw we wszystkich innych sprawach, ale nie w tej. - Twarz mu znieruchomiała. - Opowiadałem ci o moim dzieciństwie, o tym, jak cierpieliśmy z siostrą. Czy chcesz na to skazać swoje dziecko?

- Ja chcę skazać dziecko na korzenie Oakleyów - poprawiła. - Ród nie wygaśnie. Nie tak to planowałam, ale skoro tak wyszło i nic się nie da zmienić, chcę, żeby ono zapuściło korzenie w teksańską ziemię równie głęboko jak ja. Dla ciebie one mogą nic nie znaczyć, ale dla mnie są wszystkim.

- Jeszcze do ciebie nie dotarło? - rzucił niecierpliwie. - Jego korzenie mogą być w twoim świecie, ale będzie musiało żyć w moim.

- Pogódź się z faktami, Joc. Ja nie pasuję do twojego świata i nigdy nie będę.

- Będiesz. Nasze dziecko też.

- Bo ty tak powiedziałaś? - prychnęła drwiąco.

**Day Leclair**

-Tak.

Jęknęła. Gdy Joc Arnaud przemawiał, wszyscy grzecznie robili, co im kazał. No cóż, ona nie.

- Słuchaj...

- Nie, to ty posłuchaj - przerwał jej. - Od chwili narodzin to dziecko znajdzie się w świetle reflektorów.

Zrobię wszystko, żeby je chronić, by je wychować... - Opuścił głowę, przypominając zwierzę zbierające się do ostatniego, desperackiego ataku - z honorem, konsekwencją i... miłością.

- Och, Joc... - szepnęła.

- Posłuchaj mnie, Rudzielcu. - W jego głosie pojawiło się napięcie, jakby toczył bitwę. Może i tak było. - Możemy sprawić, by to zadziało. Wiem to. Coś jest między nami. Coś nas łączy. Coś więcej niż dziecko.

Z wysiłkiem usunęła z głosu najdrobniejszy ślad nadziei.

- Czy właśnie mówisz, że mnie kochasz?

- Nie umiem kochać. Taka jest prawda. Ale chcę spróbować.

- Małżeństwo z tobą nie zmieni mojej potrzeby posiadania korzeni. Dziecko też nie. Jeśli już, to raczej ją wzmocni.

- Nie mogła się powstrzymać i ujęła jego twarz w dłonie.

- Musisz wiedzieć, w co wchodzisz.

- Mam całkiem dobre pojęcie.

- To nie tylko o mnie chodzi, Joc. Będziesz sobie musiał poradzić też z tymi korzeniami, których tak się boisz. Tym związkem, któremu zaprzeczasz. Nasz syn czy córka urosną

## Noc fantazji

279

silni i wysocy. - Pocałowała go. - I będzie żyć w Longhorn. Tam nauczy się cenić ziemię, rozumieć, o ile ważniejsza jest prawość od materialnego nadmiaru. Chcę wychować moje dziecko tam, a nie w kwaterze głównej korporacji czy pół-pa-łacu. A wtedy zapuści jeszcze mocniejsze korzenie, których nie zdołasz wyrwać, tak samo jak moich.

- A jeśli się nie zgodzę?

- Wówczas nie wyjdę za ciebie, a ty nie znajdziesz sposobu, żeby mnie do tego zmusić. - Odsunęła się i uśmiechnęła lekko.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego Pluton zmusił Persefonę do życia z nim każdej zimy w Hadesie. Przynajmniej przez część każdego roku miał ją w swoim świecie.

- Czy to następny krok w negocjacjach? Chcesz, żebym grała Persefonę w twoim Hadesie?

- Nie mógłbym tego zrobić. - Opuścił głowę i zastanowił się przez chwilę. - Jeśli się zgodzę, by nasze dziecko, wszystkie nasze dzieci, wychowywały się w Longhorn, wyjdiesz za mnie?

- Tak, Joc, wyjdę za ciebie. I mam nadzieję, naprawdę, że Longhorn będzie dla ciebie takim samym domem jak dla mnie.

- No to się dogadaliśmy.

- Dlaczego mam wrażenie, że powinniśmy sobie uścisnąć dłonie?

- Istnieje tylko jeden sposób przypieczerowania układu z tobą. - Podszedł i pocałował ją powoli, namiętnie. Po dłu-

**Day Leclair**

giej chwili powiedział: - Ślub możemy wziąć najwcześniej za siedemdziesiąt dwie godziny, chyba że polecimy do Vegas i już rano będzie po sprawie.

- Oboje jesteśmy Teksaszczykami, Joe. Tu powinniśmy brać ślub.

- W takim razie może z samego rana wystąpimy o licencję?

- To mi się podoba.

- Przysięgam, że cię nie zawiodę.

Znalazła się w jego ramionach i pozwoliła sobie na wiarę, że to wszystko zadziała, że to małżeństwo będzie prawdziwym sukcesem. Że pewnego dnia zakocha się w niej.

Bo w którymś momencie Czerwony Kapturek pokochał Złego Wilka.

Obudziła go poranna cisza albo świadomość obecności Rosalyn, tak bliskiej, że miał kłopoty z odróżnieniem swojego bicia serca od jej.

Nigdy wcześniej nie czuł takiej radości i satysfakcji. Próbował przekonać sam siebie, że to dziecko pogłębiło jego więź z Rosalyn. Że czułby to samo, gdyby je miał z kim innym.

Przypomniawszy sobie wszystkie kobiety, z którymi w życiu romansował, i jedną po drugiej bez wahania odrzucił. Żadna z nich nie była właściwa, w dodatku źle się czuł, myśląc o nich, gdy głowa Rosalyn spoczywała na jego ramieniu.

Ta kobieta była inna. Wiedział o tym, gdy tylko ją zoba-

## Noc fantazji

281

czył. Jej nie zależało na jego władzy czy umiejętnościach. Pragnęła tylko jednej rzeczy: jego serca. A on nie był pewien, czy je w ogóle posiada. -Joc?

- Jestem, Rudzielcu.

- Miałam sen - powiedziała zaspanym głosem, z wciąż zamkniętymi oczami. - Zasadziliśmy największe drzewo na świecie. Rozrosło się w olbrzymi las pełen magicznych stworzeń. Szkoda, że nie możemy tam pójść.

Musnął jej wargi swoimi.

- Czy pomagałem ci sadzić to drzewo?

- Oczywiście.

- Jestem do dyspozycji.

- Może posadźmy je jutro.

Zamknął oczy, przepelniony takim zadowoleniem, jakiego w życiu nie doświadczył.

- To mi się podoba.

Właśnie wtedy, w tym momencie, gdy noc ustępuje dziennemu światłu, poddał się nieuniknionemu.

Przesunął dłoń na jej brzuch i objął swoją przyszłość.

Nie, nie swoją. Ich obojga.

Rano obudziła ich katastrofa. Po telefonie od Claire jechali do Longhorn najszybciej, jak się dało. Zza horyzontu nadciągała burza.

- Nie rozumiem - złościła się Rosalyn. - Dlaczego nie chciała nam powiedzieć, co się stało?

**Day Leciaire**

- Wyjaśni, gdy dojedziemy - próbował ją uspokoić.
- Kolejny pożar. Ktoś spalił dom.
- W takim wypadku Claire by się tam z nami nie umówiła. Uspokój się, moja droga. Cokolwiek to jest, poradzimy sobie z tym. Razem.

Gdy dojechali, poczuła ulgę. Dom wciąż stał. Dopóki nie zajechali na zwirowany podjazd, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo tęskniła za domem. Zobaczyła Claire na ganku, napiętą jak struna. Rosalyn wyskoczyła z wozu, gdy tylko stanęli.

- Co się dzieje? - spytała.
- Powiem wprost. Jakaś miastowa zajechała tu i zażądała widzenia z tobą. Próbowałam ją przegonić, ale uparła się i powiedziała, że poczeka. - Claire załamała rękę. - Twierdzi, że jest właścicielką rancza.
- Co? - Rosalyn chciała się roześmiać, ale miała gardło jak z piasku. Wpadła do domu. - Gdzie ona jest?
- W salonie.
- Kochanie...

Odwróciła się gwałtownie do Joca.

- Wiesz coś o tym?

Zapadła długa, nieprzyjemna cisza. W końcu spytał powoli:

- Pytasz mnie, czy znalazłem jakiś sposób, żeby cię pozbawić rancza?

Ten chłodny spokój powinien ją ostrzec, ale podejrzenie było zbyt silne.

## Noc fantazji

283

- A znalazłeś?

- No i po zaufaniu.

Gdzieś w środku mały głosik wrzeszczał do niej, żeby cofnęła te słowa, jednak drugi, równie natarczywy, przypominał, że Joc jest człowiekiem chcącym mieć wszystko: i ją, i dziecko, i ranczo. A jeśli się trafi okazja zdobycia przewagi, wykorzysta ją. Zwłaszcza jeśli dostanie, czego chce.

- Zobaczmy, o co chodzi - rzuciła, ignorując komentarz. Wpadła do salonu i zachłysnęła się na widok gościa. Joc zaklął.

- MacKenzie, co ty tu robisz?

- Oglądam najnowszy nabytek. - Rozsiadła się wygodniej w fotelu i skrzyżowała nogi. - A co ty tu robisz, braciszku?

- Ja jestem tu u siebie, w przeciwieństwie do ciebie.

- Już nie. Ty i twoja... - Uniosła brew. - Przyjaciółka?

- Narzeczona. MacKenzie roześmiała się.

- Przezabawne.

- Przestańcie, oboje! - wtrąciła się Rosalyn. - Chcę się dowiedzieć, co tu się dzieje.

- To bardzo proste. Jesteś pionkiem, kochanie. Mój brat chciał twojej ziemi, a to oznacza, że ja również. W normalnych okolicznościach znalazłby coś na ciebie, żeby ją zdobyć. Wtedy ja bym złożyła kontrofertę. W końcu jedno z nas by wygrało, drugie przegrało. - Spojrzała na Joca. - Czy nie tak się gra?



**Day Leclair**

- To nie jest gra - warknął.

- Oczywiście, że tak. Ty tylko odrobinę zmieniłeś jej reguły. Zamiast zapłacić za zdobycz, postanowiłeś się posłużyć uwiedzeniem nieszczęsnej, łatwowiernej ranczer-ki. - MacKenzie wróciła wzrokiem do Rosalyn. - Gdybyś nie wiedziała, to o ciebie chodzi. Tylko że jest już za późno. Gdy tylko się dowiedziałam, że on chce twojej własności, wykupiłam kredyt hipoteczny. A potem zawarłam... coś w rodzaju umowy z dżentelmenem zwanym Duff. Czy wiesz, że jest nałogowym hazardzistą?

Joc zaklął. Rosalyn usiłowała powstrzymać drżenie w głosie.

- Przekupiłeś go? MacKenzie wzruszyła ramionami.

- Nie można mnie winić za to, że regularnie zapominał wpłacać raty kredytu hipotecznego. Ani za to, że to przegapiłeś. Dobra rada: stanowczo częściej powinnaś sprawdzać bilans i konto w banku.

Rosalyn potrząsnęła głową.

- To nie może być prawda.

- Owszem, jest. Jeśli chodzi o bezlitosne prowadzenie interesów, jestem równie dobra jak mój braciszek.

- Czego chcesz, MacKenzie? - wtrącił się Joc. Uśmiechnęła się promiennie.

- Nic. Już mam to, po co przyszłam. Jesteś wściekły, bo zdołałam dopaść tego miejsca przed tobą i mogę zablokować twoją inwestycję. Chyba kupno całego tego terenu wo-

## Noc fantazji

285

kół farmy Oakleyów było totalną stratą pieniędzy. - Cmoknęła z fałszywym współczuciem. - Co za wstyd.

- Cała ta sprawa nie ma nic wspólnego z Rosalyn. Nie wciągaj jej do tego.

- Nie ja to zrobiłam, tylko ty - odcięła się. - Wczoraj cię ostrzegałam, lecz jak zwykle wielki Joc Arnaud sądził, że ma wszystkie atuty. No cóż, to nieprawda.

- To ty jesteś odpowiedzialna za wszystkie kłopoty na farmie - oskarżyła ją Rosalyn. - To ty spaliłaś mi stodołę.

- Absolutnie nie. Ja tylko poprosiłam Duffa o odwrócenie twojej uwagi, żebyś się nie zorientowała w moich manewrach. Nie moja wina, że się okazał nieco nadgorliwy.

Rosalyn zacisnęła pięści.

- Zachowujesz się, jakby to była jakaś gra czy żart! Ale nie jest! To moje życie, mój dom!

- Już nie. - MacKenzie wstała. - Do końca tygodnia masz się wyprowadzić.

- MacKenzie - warknął Joc. - Nie rób tego. Ona jest niewinnym przypadkowym świadkiem naszej wojny.

Twarz jego siostry wykrzywił grymas zimnej wściekłości.

- Nic, co powiecie czy zrobicie, nie zmieni mojego zdania. Rosalyn schowała dumę do kieszeni.

- Spłacę wszystko - powiedziała błagalnie. Joc położył jej dłoń na ramieniu.

- Kochanie... Strząsnęła tę dłoń.

- Mam pieniądze. Zapłacę każde karne odsetki, jakich

**Day Leclair**

zażadasz. Przyznaję, powinnam częściej sprawdzać konta. Proszę, nie odbieraj mi domu.

- Sugeruję, żebyś za całe to zamieszanie winiła nie mnie, tylko Joca. To on odmawia mi sprzedania rezydencji Hollisterów. - Wzięła torebkę i podeszła do wyjścia. - Dla pewności, ja zdania nie zmienię. Radzę się zacząć pakować, bo jeśli w końcu tygodnia jeszcze tu będziesz, usunę cię przy pomocy policji. W poniedziałek rano przyjeżdżają tu buldożery i na tym terenie zostaną tylko niebo i ziemia. Rosalyn miała wrażenie, że zaraz się udusi. Popatrzyła na Joca i serce jej stanęło. MacKenzie nie tylko mówiła poważnie, ale na pewno to zrobi. I nikt nie miał najmniejszych szans, by ją powstrzymać. Rosalyn bez słowa rzuciła się do wyjścia, by uciec dokądkolwiek. Zapomniała o luźnej wykładzinie, zaczepiła o nią i straciła równowagę. Zamachała rękami, usiłując się ratować. Potem bezradnie poleciała w tył, ze schodków prowadzących do salonu. Zanim uderzyła o podłogę, przeleciały jej przez głowę dwie myśli.

Nigdy nie powiedziała Jocowi, że go kocha.

Ale, co nieskończenie gorsze, że jej bezmyślność właśnie zabiła jej dziecko.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

- Rudzielcu? O Boże, odezwij się, Rudzielcu!

Joc opadł przy niej na kolana i ostrożnie uniósł szafkę, która przewróciła się na nią przy upadku.

Rosalyn leżała nieruchomo. Wyszarpnął komórkę i chciał wezwać pomoc. Z powodu burzy sygnał zanikał, miał problemy z przekazaniem niezbędnych informacji, szybko jednak okazało się, że w taką pogodę helikoptera i tak nie da się przysłać.

Przerażony jak jeszcze nigdy w życiu sprawdził puls. Gdy go wyczuł, miał ochotę rozplakać się jak dziecko. Rzucił MacKenzie mordercze spojrzenie.

- Wynoś się! - warknął.

Nawet nie sprawdzał, czy posłuchała. Skupił się na telefonie, żądaniu, błaganiu i przeklinaniu.

Następne pół godziny czekania na pogotowie było najdłuższe w jego życiu, znalazł się na krawędzi rozpacz. Gdyby nie Claire i jej spokojny, ciepły głos chyba by zwariował. Klęczał przy Rosalyn tak bezradny jak jeszcze nigdy. Wielki Joc Ar-naud nie miał żadnego sposobu ominięcia tej katastrofy.

Pozostało mu tylko jedno, czego jeszcze nigdy nie próbował.

Zaczął się modlić.

**Day Leclair**

Gdy sanitariusze przyjechali, ustabilizowali Rosalyn, zanim zabrali ją do karetki. Nieskończoną liczbę razy mówił im, że jest w ciąży, że mają się pobrać za niecałe trzy dni. Za pomoc w jej ratowaniu obiecywał im wszystko, co mu tylko przyszło do głowy. Ale wydarzenia szły swoją drogą, całkowicie poza jego kontrolą.

Dopiero gdy Rosalyn znalazła się bezpiecznie w karetce, przyznał się sam przed sobą do tego, przed czym uciekał od tygodni. Kochał ją nad życie. Może dlatego wcześniej tego nie dostrzegł, że nigdy dotąd nie doświadczył takiej mocy uczuć. W czasie niemającej końca jazdy do szpitala usprawiedliwiał się z tego. Nie wiedział, czy ona go słyszy, miał tylko nadzieję, że jego słowa jakoś do niej docierają.

Gdy przyjechali na miejsce, poczuł ulgę. Nie miał pojęcia, że nie będzie mógł z nią zostać, że ją od niego zabiorą, ale pomimo jego gwałtownych protestów zrobili to z łatwością znamionującą długą praktykę.

I wtedy, stojąc samotnie w wypełnionej wonią antyseptyków poczekalni izby przyjęć, Joc poznał prawdziwe znaczenie słowa bezradność.

Przez następne dwie godziny przemaszerował w tej poczekalni wiele kilometrów. Po pierwszych sześćdziesięciu minutach pamiętał każdą plamę na wykładzinie oraz wszystkie trzydzieści trzy zadrapania, dziury i plamy na ścianach. Po drugich potrafiłby wyliczyć wszystkie ciasteczka, cukierki i napoje w automatach. I to z zawiązanymi oczami.

## Noc fantazji

289

Nikt nie przyszedł mu powiedzieć, co się dzieje z Rosalyn. W końcu miał dość. Był gotów kupić ten szpital, byle tylko ktoś udzielił mu informacji. Ruszył w stronę wejścia na oddział, gdy pojawił się w nim lekarz Rosalyn.

- Co z nią? - rzucił się na niego Joc. - Nic jej nie jest?

- Czy pani Oakley ma rodzinę?

- Ja jestem jej rodziną. - Z trudem się powstrzymywał, by nie wrzeszczeć na tego człowieka. - Proszę, co z nią?

- Przeżyje. Trochę skaleczeń, siniaków i otarć. Wstrząs mózgu był trochę niepokojący, ale w rezonansie wszystko jest w porządku.

- A dziecko?

- Ona jest w bardzo wczesnej ciąży?

- Szósty tydzień.

- Nie poroniła, ale ryzyko wciąż istnieje - ostrzegł lekarz. Wskazał na stojącą obok pielęgniarkę. - Teraz może się pan z nią zobaczyć. Za parę dni będzie już wszystko wiadomo.

Kiedy Rosalyn się ocknęła, ból był dużo mniejszy niż przy kilku innych okazjach, gdy odzyskiwała przytomność. Zorientowała się, że jest w szpitalnym łóżku. Tuż obok popiskiwał jakiś aparat.

Spróbowała zogniskować wzrok. Wciąż miała silne zawroty paskudnie bolącej głowy. Ktoś przygasił światło w pokoju, ale rozpoznała znajomą sylwetkę pod ścianą.

-Joc?

**Day Leclair**

Wyprostował się i natychmiast podszedł do łóżka.

- Jestem tu, Rudzielcu.

Zadała to samo pytanie, które powtarzała za każdym razem, gdy tylko się budziła.

- Co z dzieckiem? Straciłam je?

A on udzielił tej samej odpowiedzi co zawsze.

- Naszemu dziecku nic nie jest.

- Przepraszam. Byłam taka zdenerwowana i zła, że zapomniałam o wykładzinie, którą już od miesiący zamierzałam przymocować. Gdybym to zrobiła, nie byłoby tego wypadku.

- Teraz nie musisz się tym martwić.

- Ale mogłam zabić nasze dziecko. - Otarła łzy wierzchem dłoni, krzywiąc się, gdy trafiła na ranę po skaleczeniu. Schwycił ją za rękę, odciągając je od policzków.

- Pozwól, ja to zrobię za ciebie. Jesteś trochę poobijana. Kiedy upadłaś, zawadziłaś o szafkę, która się na ciebie przewróciła. Masz strasznie podbite oko.

- Nie pamiętam. Nie pamiętam niczego po wypadku. Zwilżył zimną wodą kawałek szmatki i otarł jej twarz tak

delikatnie, że znów łzy stanęły jej w oczach.

- Hej, Rudzielcu, zakręć fontannę - rzucił z taką czułością, że aż zabrakło jej tchu. - Tak przeciekasz, że nie nadążam ze sprząaniem.

. - Joc. - Zwilżyła spierzchnięte wargi. - Co się stało z MacKenzie?

- Po twoim upadku wyrzuciłem ją z domu.

## Noc fantazji

291

Nie o to jej chodziło. Podejrzewała, że zrobił unik, co mogło oznaczać tylko jedno. Zwiesiła głowę.

- Od jak dawna? - Milczał, więc zdenerwowała się jeszcze bardziej. - Czy ona naprawdę przejęła własność Longhorn?

- Nie wiem - starał się mówić lekkim tonem, ale jego nieprzeniknione spojrzenie zdradzało prawdę. - Jutro z samego rana moi prawnicy się tym zajmą. Jeśli zdołamy nakłonić Duffa do przyznania się, że przepuszczał raty kredytowe zamiast wpłacać je na właściwe konto, oraz dowiedziemy, że MacKenzie mu za to zapłaciła, to może uda się wszystko odkręcić.

Poruszyła się niespokojnie. - Nie mogę stracić rancza. Po prostu nie mogę.

- Teraz musisz sobie spokojnie dać czas na dojście do siebie. - Delikatnie położył dłoń na jej brzuchu.

- Twój powrót do zdrowia jest najważniejszy.

Miał rację, jej zdrowie i dobro dziecka są istotniejsze niż wszystko inne. Skinęła głową, czując znów przemożne zmęczenie. Uścisnęła jego dłoń, nie mając siły na nic więcej. Zamknęła oczy.

- Chyba się zdrzemnę - mruknęła.

- Rudzielcu? - Głos Joca dobiegał z bardzo daleka. - Kochanie? Muszę ci coś powiedzieć. Musisz wiedzieć, że...

Próbowała uważać, walczyła z przemożną sennością, próbując słuchać, co ma jej do powiedzenia, ale przegrała. Ześliznęła się w ciepły, miękki mrok snu, gdzie nic nie groziło ani jej, ani dziecku.



**Day Leclair**

Joc siedział bezwładnie na krześle przy łóżku Rosalyn, bezskutecznie szukając wygodniejszej pozycji. Rzecz niemożliwa, ale i tak próbował. Przyglądał się śpiącej.

Czy go usłyszała? Czy dotarła do niej jego deklaracja miłości? Wydawało mu się, że zareagowała na jego słowa trzepotaniem rzęs, ale pewności nie miał. Kiedy się teraz obudzi, będą to pierwsze słowa, jakie usłyszy. Wstał i zobaczył MacKenzie stojącą w drzwiach.

- Co tu, u diabła, robisz? - warknął.

Miała dość rozsądku, żeby nie próbować wejść do pokoju.

- Musiałam tu przyjść - wyjaśniła pospiesznie. - Przykro mi, Joc. Wiem, że jestem częściowo odpowiedzialna za ten wypadek. Co z nią?

- Co z nią?!

Zalała go fala bólu i stracił kontrolę nad sobą. Kompletnie. Rzucił się na nią, popędzany tylko instynktem i adrenaliną. Kiedy nieco otrzeźwiał, trzymał ją za klapy bluzki, wciśniętą w ścianę.

- Jeśli cokolwiek się stanie naszemu dziecku, przysięgam, że własnoręcznie rozedrę cię na sztuki, kawałek po kawałeczku - wysyczał. - Dotarło?

- Dziecku? - Osłupiała MacKenzie potrząsnęła głową w niedowierzaniu. - Nie, nie, o Boże, Joc, ona jest w ciąży? Powiedzieli co z dzieckiem? Wszystko w porządku?

- Jak dotychczas. - Oddychał ciężko. Odzyskanie kontroli zabrało mu dłuższą chwilę. - Zapłacisz za to, MacKen

## Noc fantazji

293

zie. Jeśli coś się stanie Rosalyn, przysięgam, zniszczę cię doszczętnie.

Zesztywniała w jego uchwycie.

- Jak śmiesz mi grozić? To ty wszystko zacząłeś, Ar-naud. Musiałeś przejąć posiadłość Hollisterów. Nie potrafiłeś zdobyć jej legalnie, więc wykradłeś ją mojej matce. No cóż, mam dla ciebie informację. Możesz odebrać mi dom, ale wciąż nie uczyni cię to jednym z nas.

Drgnął, zdumiony, że nawet po tylu latach może go to tak zaboлеć. Nagle zdał sobie sprawę, że wciąż przydusza ją do ściany. Bardzo ostrożnie puścił ją i się odsunął.

- W przeszłości trzymałem się z daleka z szacunku dla twojej matki. - Z trudem starał się mówić prawie szeptem, żeby nie obudzić Rosalyn. - Ale po dzisiejszym dniu koniec z tym. Rozumiemy się? Rękawiczki idą w ką. Z mojego punktu widzenia już nie jesteśmy rodziną. Ty i tak nigdy tego nie chciałaś.

- Rób, co chcesz, Joc, ale to i tak nie zwróci Rosalyn ran-cza. - Poprawiła bluzkę. - Tylko ja mogę ci dać to, czego chcesz.

Zawahał się.

- Nie pogrywaj sobie ze mną. Sprzedasz mi Longhorn czy nie?

- Och, oczywiście.

- Ile za nie chcesz? - Był gotów negocjować wszystko, oprócz rzeczy mających wpływ na Rosalyn i dziecko.

Wpatrywała się w niego oczami, które prześladowały go

**Day Leclair**

przez całe życie, których pragnął nienawidzić. Oczami ojca. Lecz ból, który zobaczył w spojrzeniu MacKenzie, był całkiem odmienny od wyrazu oczu Bossa Hollistera. To było coś, co oglądał stanowczo za często, zawsze w tym samym miejscu. W lustrze.

- Nie chcę twoich pieniędzy. - Usta jej zadrżały na moment. - Chcę posiadłości Hollisterów. Zamienię ją na Longhorn.

Zaklął pod nosem.

Powinien to przewidzieć. Może gdyby Rosalyn i dziecko nie odwróciły tak bardzo jego uwagi...

Poczuł ucisk w gardle. Chciało mu się wyć z furii.

- To jedyna rzecz, której nie mogę ci dać. Zażądaj czegokolwiek innego, MacKenzie. Zapłacę każdą cenę.

W jej oczach zabłyśły łzy wściekłości. Zadrżała, opanowując się.

- Do cholery, mam gdzieś pieniądze! Chcę swojego domu!

- Nie mogę.

- Dobrze. Nie ustępuj. Będziesz musiał wytłumaczyć to swojej narzeczonej. - Zerknęła na Rosalyn. -

A może teraz już byłej narzeczonej, skoro odmówiłeś uratowania jej domu przed moimi buldożerami.

Coś mi mówi, że masz marne szanse na sukces.

Joc odwrócił się gwałtownie. Rosalyn siedziała z szeroko otwartymi oczami wypełnionymi rozczarowaniem.

## Noc fantazji

295

- Dlaczego? - spytała Rosalyn. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała przed chwilą. - Możesz uratować Longhorn, ale nie chcesz tego zrobić. Dlaczego?

Trzymał się z daleka od niej, z nieprzeniknioną znów miną.

- Wybacz, kochanie. Nie mogę tego zrobić i nie mogę wyjaśnić dlaczego.

- Nie możesz czy raczej nie chcesz?

- To nieistotne.

Nie rozumiała. Nie pojmowała jego podejścia. Jego dystansu. Ten mężczyzna w ogóle nie przypominał tamtego, w którym się zakochała, który, przysięgłaby, wyznał jej miłość. Jeszcze raz próbowała się przedrzeć przez wzniesioną przez niego barierę.

- Powiedziałeś mi, że ziemia twojego ojca nie ma dla ciebie żadnego znaczenia. Że wcale nie próbowałeś odzyskać związku z nim poprzez jego dom.

- To prawda.

- To dlaczego... Tylko potrząsnął głową.

Wierzyła mu, przynajmniej w sprawie znaczenia ziemi. Wiedziała, że nie kłamie. Poszukała innego wyjaśnienia.

- Czy to zemsta? Odegranie się na Hollisterach? Czy wyrównanie rachunków za to, co ci zrobił Boss, wciąż, po tylu latach, jest aż tak ważne?

- Uwierzysz, jeśli powiem, że nie?

Potrząsnęła głową, krzywiąc się z bólu w skroniach.

**Day Leclair**

- Już nie wiem, w co wierzyć. A ty odmawiasz wyjaśnień. Co mam myśleć?

Podszedł do krawędzi łóżka.

- Muszę cię prosić o zaufanie, kochanie.

- Już tyle razy mnie o to prosiłeś. I za każdym razem je dostawałeś. - Otarła łzy z policzków. - Leczenie uratowanie mojego domu leży w twoich możliwościach, a ty tego odmawiasz. Czy naprawdę posiadanie ziemi twojego ojca jest dla ciebie aż tak ważne?

- Mogę ci tylko powiedzieć, że mam bardzo istotne powody, by tak postępować.

Przyszła jej do głowy jeszcze jedna możliwość, łamiąca serce.

- Czy MacKenzie miała rację? Czy dla was dwojga to tylko gra?

Zawahał się.

- Dotychczas, jak sędzę, to był rodzaj rozgrywki.

- Dla mnie to nie jest żadna gra. To moje życie!

- Posłuchaj, kochanie. MacKenzie gardzi samym moim istnieniem. Nieważne, że nie miałem nic wspólnego z okolicznościami towarzyszącymi moim narodzinom, że Ana i ja jesteśmy takimi samymi ofiarami bezduszności Bossa jak MacKenzie i jej bracia. Zależy jej na pokonaniu mnie i nie obchodzi jej, kto przy okazji zostanie skrzywdzony. Byle wygrała.

- Ale ty możesz to zakończyć. Masz taką możliwość. - Jej głos był pełen desperacji. - Wystarczy, że dasz jej to, cze-

## Noc fantazji

297

go chce. Czy też wygrana jest dla ciebie tak samo ważna jak dla niej?

Odpowiedział z pełną bólu łagodnością.

- Powiem ci to samo co jej. Poproś mnie o cokolwiek innego, dosłownie cokolwiek, i jest to twoje. Pomimo że tak ci się wydaje, danie jej akurat tego pozostaje poza moimi możliwościami. - Przyjrzał się jej twarzy i zacisnął usta. - Nie wybaczysz mi, jeśli tego dla ciebie nie zrobię, prawda? Zawsze będzie nas to dzielić.

Chciała zaprzeczyć, chciała być tak szczodra, by otrząsnąć się ze straty i iść dalej przez życie. Jednak zbyt wiele lat była jedynym strażnikiem Longhorn, by być do tego zdolną. Ranczo było jedyną rzeczą łączącą ją z rodzicami i poprzedzającymi ich pokoleniami Oakteyów. Jej milczenie wystarczyło za odpowiedź. Wstał.

- Przyjdę jutro. Porozmawiamy o tym jeszcze.

- Nie przychodź - wyszeptała. - Już nic nie zostało do powiedzenia.

Zawahał się, pochylił głowę i wyszedł bez słowa.

Gdy tylko zniknął, Rosalyn opadła na poduszki, walcząc ze łzami. Coś tu było nie tak. Nie miała pojęcia co, ale wszystko jej to mówiło. Wyraźnie widziała, że sprawa sięga dużo dalej niż prosta walka o jej ranczo i posiadłość Hollisterów. Sama jednak nie miała szans dojść, o co chodzi, i była pewna, że dowiedzieć się tego może wyłącznie od Joca, jeśli jej wystarczająco mocno zaufa.

Jak mogła teraz podejmować rozsądne decyzje, skoro nie

**Day Leclair**

wie nic o jego sekrecie? Jak mogą stworzyć dobre małżeństwo, skoro on coś ukrywa?

Albo jeśli żeni się z nią z niewłaściwych powodów?

Dlaczego nie chciał zamienić jej rancza na dom MacKenzie? To pytanie ją dręczyło. Jedyne powód, jaki potrafiła wymyślić, był jednym z najgorszych. Nie chciał się zamienić, bo w ten sposób zmuszał ją i dziecko do życia w jego świetle, a nie na ranczu. W ten sposób odzyskiwał kontrolę, którą utracił, zgadzając się na jej warunki małżeństwa. Czy naprawdę był aż tak bezlitosny? Kogo ona próbowała oszukać? Jec najprawdopodobniej wymyślił to słowo.

Jec zadzwonił dobrze po północy. Po piątym dzwonku w słuchawce rozległ się zaspany głos.

- Tu Arnaud - przedstawił się. - Mamy problem.

- Zdajesz sobie sprawę, która jest godzina?

- Bardzo dobrze. - Zacisnął pięść. - Potrzebuję twojej pomocy, Meredith.

Zapadło długie milczenie.

- Sądziłam, że już dość ci pomogłam. Zignorował tę uwagę.

- MacKenzie udało się położyć łapę na ranczu Rosalyn. Zrówna je z ziemią, jeśli w zamian za nie nie oddam jej waszego dawnego domu. Potrzebna jest twoja interwencja, by ją powstrzymać.

- O Boże. Porozmawiam z nią, ale wątpię, żeby to coś dało.

## Noc fantazji

299

Z trudem zachowywał spokój.

- Możesz zrobić dużo więcej, niż tylko z nią porozmawiać - zauważył.

Po dłuższym milczeniu odezwała się:

- Już kiedyś o tym mówiliśmy. Dałeś mi słowo i oczekuję, że go dotrzymasz.

Zamknął oczy.

- Wątpisz w to?

- Przysiągłeś Anie, że zmienisz swoje życie, gdy byłeś dwudziestoletnim łajdakiem. Z tego co wiem, od tamtej pory nigdy nie złamałeś danego słowa. Przypuszczam, że teraz nie zamierzasz zacząć?

- Nie.

- Zrobię, ile się da - powiedziała z ulgą. - Ale MacKenzie potrafi być tak samo uparta jak ty.

- Mogę ją stracić, Meredith - wyszeptał. - Nie Rosalyn. Wszystko, tylko nie ją.

- Kochasz ją? - spytała, zszokowana. - Ty, Joc?

- Bardziej niż cokolwiek na świecie. To ranczo jest dla niej wszystkim. - Z trudem wymawiał słowa przez ściśnięte gardło. - Znaczy dla niej więcej niż ja.

- Dobrze, zrobię, co się da.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Trzydzieści sześć godzin później Rosalyn wypisała się ze szpitala. Lekarze wcale nie byli zadowoleni, zwłaszcza gdy się okazało, że Joc po nią nie przyjedzie. Ale jak miał to zrobić, skoro do niego nie dzwoniła? Ponieważ jednak i ona, i dziecko czuły się znakomicie, niechętnie, ale ją wypuścili.

Wychodząc na dwór, zastanawiała się co robić dalej. Dom Joca był poza dyskusją. Przed spotkaniem z nim musiała przemyśleć wszystko, co było pomiędzy nimi. Zanim jednak zdążyła się zastanowić, na podjeździe pojawił się duży, czarny samochód i stanął przed nią. Otworzyły się drzwi pasażera i z wnętrza dobiegł kobiecy głos:

- Pani Oakley... Rosalyn? Umówiłam się z pani gospodynią, Claire, że odbiorę panią ze szpitala.

Rosalyn zamrugła, zdumiona.

- Proszę wybaczyć, ale czy my się znamy?

- Nie bezpośrednio, kochanie. Jestem Meredith Holli-ster. Myślę, że powinniśmy porozmawiać.

Rosalyn szybko podjęła decyzję i wsiadła do samochodu, uważnie się przyglądając kobiecie za kierownicą. Wyglądała na czterdzieści parę lat, choć proste odejmowanie

## Noc fantazji

301

dowodziło, że jest po pięćdziesiątce. Była równie atrakcyjna jak córka, choć zupełnie od niej inna.

- Skąd pani wiedziała, że właśnie teraz wychodzę? - zainteresowała się Rosalyn. - Nawet Joc nie wie.

Meredith zbyła pytanie machnięciem wypięłgnowanej dłoni. Ku zdumieniu Rosalyn, paznokcie miała krótkie, praktyczne, wcale nie modne.

- Przekupiłam pielęgniarkę, żeby mnie o wszystkim informowała. Zadzwoiłam do twojej gospodyni i zaproponowałam, że zawiozę cię, dokąd zechcesz.

- Nie bardzo wiem, o czym miałybyśmy rozmawiać. - Rosalyn zapięła pas, krzywiąc się z powodu bólu mięśni.

- Ale za podwiezienie jestem bardzo wdzięczna.

- Pomyślałam sobie, że powinniśmy porozmawiać o Jo-cu.

Było to tak niespodziewane, że Rosalyn nie bardzo wiedziała, jak zareagować.

- Chce pani rozmawiać ze mną o nim? - spytała niepewnie. - To na pewno nie będzie nic dobrego.

Meredith rzuciła jej rozbawione spojrzenie.

- Dlaczego tak sądzisz? Bardzo lubię Joca. - Ruszyła. - Gdzie mam cię zawieźć?

- Chyba do domu. Niestety już wkrótce nie będzie mój

- poprosiła Rosalyn, z nadzieją, że nie wypadło to zbyt żałośnie.

- Ach, masz na myśli MacKenzie. Moja córka nigdy nie gra fair.

**Day Leclair**

Rosalyn poniósł temperament.

- Przekupiła mojego pracownika, żeby zaniedbał spłaty kredytu, który wykupiła, co pozwoliło jej przejąć moje ran-czo. Tak więc ma pani rację. Ona nie gra fair.

- Chce odzyskać dom. Sądziła, że Joc ustąpi.

- Nie winię jej za to. Rozumiem przywiązanie do korzeni. Mam jej za złe sposób, w jaki się za to zabrała, i że wykorzystała mnie przeciwko Jocowi.

Meredith zmarszczyła brwi.

- Denerwujesz się, to niezdrowe. Odchyl oparcie, jazda trochę potrwa.

- Nie jestem zmęczona...

- Wypisałaś się ze szpitala wbrew woli lekarzy. Zastanów się przynajmniej nad zdrowiem dziecka.

Wszelkie protesty znikły po tym laótkim stwierdzeniu. Ta kobieta umiała manipulować otoczeniem.

Rosalyn posłuchała, przymknęła oczy i zapadła w stan pomiędzy jawą i snem. Ocknęła się, gdy wóz zaczął wyraźnie zwalniać. Usiadła. Właśnie wjeżdżały na teren posiadłości Joca.

- Co pani robi? Nie chciałam tu przyjeżdżać!

- Nie? Ups, mój błąd. Myślałam, że chcesz jechać do domu.

- To nie jest mój dom.

- Ha, myślałam, że jest. - Meredith zatrzymała pojazd przed szerokimi schodami. - Czy pozwolisz mi dać sobie pewną radę?

- Wolalabym nie - odparła szczerze.

## Noc fantazji

303

- Rozumiem, ale chyba i tak to zrobię. - Na twarzy starszej kobiety pojawiły się linie zdradzające wewnętrzny, gorzki ból. - W bardzo bolesny sposób przekonałam się, że gdy ktoś traci coś dla niego najważniejszego, może się stać pełen złości i cynizmu. Albo może zebrać wszystko, co mu zostało, i wydobyć z tego to co najlepsze. Teraz właśnie stoisz przed takim wyborem. Joc cię kocha, jak wiesz. - To nieprawda...

Meredith przerwała jej bez wahania.

- Prawda, tak samo jak to, że ty go kochasz. Masz wybór, Rosalyn. Możesz zostawić za sobą całą przeszłość i zbudować nowe życie z ukochanym mężczyzną albo wykorzystać to, co się wydarzyło, do odcięcia się od szczęścia. Kiedy ja stanęłam przed takim wyborem, dokonałam niewłaściwego. Podobnie większość mojej rodziny. - Patrzyła na Rosalyn jednocześnie błagalnie i rozkazująco. - Nie rób tego Jocowi. Zasługuje na lepszy los.

Rosalyn gapiła się na nią osłupiała.

- Jak może go pani bronić? Odebrał pani wszystko.

- Mylisz się. Boss to zrobił, nie Joc. - Skinęła głową, jakby przytakując jakiejś decyzji. - Zrób coś dla mnie, proszę. Powiedz Jocowi, że zwalniam go z danego słowa. Będzie wiedział, o co chodzi.

Rosalyn siedziała nieruchomo przez kilka minut, w końcu westchnęła głęboko.

- Będziemy tu stać, dopóki nie wysiądę, prawda?

**Day Leclair**

- Obawiam się, że tak. - Delikatnie pomachała palcami w stronę drzwi wejściowych. - Rusz się, kochanie. I koniecznie nie zapomnij przekazać Jocowi moich słów.

Rosalyn wysiadła. Nie oglądając się, weszła po schodach do domu Joca. Jej pojawienie się zaskoczyło jedną z pokojówek, która uśmiechnęła się radośnie.

- Witamy w domu, pani Rosalyn.

- Dziękuję, Lynn. Wiesz może, gdzie jest Joc?

- W gabinecie.

Rosalyn wcale nie miała ochoty się z nim spotkać, ale nie miała wyboru. Tylko że Meredith miała rację, najpierw musiała się zastanowić, jakiego dokona wyboru. Mogła znienawidzić go za odrzucenie propozycji MacKenzie i do końca życia żałować tego, co się stało. Albo pogodzić się ze swoim udziałem w katastrofie i żyć dalej. Gdyby uważała na bilans, może zauważyłaby, że jej czeki za raty kredytowe nie były realizowane i powstrzymałaby MacKenzie, zanim było za późno.

Ponadto Joc wcale nie miał obowiązku używać swoich środków do ratowania Longhorn. W tym momencie do niej dotarło. Dobry Boże! Gdyby ją wyciągnął z tego bagna, to on byłby właścicielem, nie ona - i miałby pełne prawo postawić swój kompleks, wcale nie zachowując rancza. Dlaczego jej to wcześniej nie przyszło do głowy?

Boss wywołał wiele sporów i kłopotów, realizując swoje egoistyczne zachcianki bez zwracania uwagi na żonę i dzieci, nie mówiąc już o matce Joca. Jakże łatwo byłoby

## Noc fantazji

305

jej podążyc podobną drogą, ścieżką goryczy i emocjonalnej pustki. Ale może też zaufać Jcowi, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by zadbać o nią i ich dziecko. Może nawet z czasem przekonanie Meredith, że on ją kocha, okaże się prawdziwe.

Rosalyn zamknęła oczy i pogodziła się spokojnie z przeszłością i wszystkimi swoimi stratami. Od tej chwili skupi się na przyszłości i życiu, jakie chce dać swojemu dziecku. Czas stworzyć nowe dziedzictwo dla przyszłych pokoleń. Zapuści nowe korzenie. Wyprostowała się i zapukała do dębowych drzwi.

- Mówiłem, żeby nie przeszkadzać! Otworzyła ciężkie skrzydło.

- Tym gorzej dla ciebie. Jestem tu i musisz się mną zająć.

- Rudzielec! - Zerwał się na równe nogi, rozlewając drinka. - Wszystko w porządku? A dziecko?

- I matka, i dziecko czują się świetnie, dziękuję.

Nie widziała go od kilka dni, ale wyglądał tak kiepsko, jakby nie spał od miesiąca. Oczy miał przepełnione bólem.

- Powiedziano mi, że wypuszczą cię dopiero jutro. - Obszedł biurko i sięgnął do niej, ale ręce mu opadły do boków, jakby się bał jej dotknąć. - Dlaczego nie zadzwoniłaś? Odebrałbym cię.

- Nie chciałam cię widzieć.

- To dlaczego tu jesteś?

306

### Day Leclair

- Nie z własnego wyboru, a przynajmniej z początku nie. Meredith mnie tu przywiozła.
- Skąd wiedziała, kiedy wychodzisz?
- Najwyraźniej łapówkarstwo i podstęp leżą w naturze Hollisterów. Meredith przekupiła pielęgniarkę.
- Weszła głębiej do gabinetu i odwróciła się ku niemu. - A tak przy okazji, przekazała wiadomość dla ciebie.

W jednej chwili jego twarz zastygła w maskę bez wyrazu. - Jaka?

- Powiedziała, że zwalnia cię z danego słowa. Podobno wiesz, co to znaczy.
- Nic więcej ci nie przekazała?
- Nie. - Miała dość Hollisterów. - Możemy porozmawiać? To znaczy tak naprawdę?
- Sądzę, że to dobry pomysł. Rosalyn uniosła brew.
- Mogę być pierwsza?
- Zaczynaj.

Przy odrobinie szczęścia zrozumie, dokąd ona zmierza swoim żądaniem. Pozostawało tylko jedno pytanie: Jak na nie zareaguje?

- Chciałabym renegocjować naszą umowę dotyczącą dziecka i małżeństwa.
- Którą klauzulę?
- Tę odnoszącą się do miejsca, w którym będziemy mieszkać.

## Noc fantazji

307

W jego oczach pojawiła się desperacka nadzieja.

- W tym punkcie jestem otwarty na propozycje. Gdzie mamy się osiedlić?

- W dowolnym miejscu, w którym zechcesz zapuścić korzenie. Gdzie moglibyśmy zrobić to razem - powiedziała po prostu. - Jeśli chcesz, oczywiście.

Podszedł do niej, objął ją i przytulił.

- Powiedz, jeśli za mocno.

- Odkryłam, że potrafię znieść trochę bólu. Szybko dochodzę do siebie.

- Jesteś pewna? Naprawdę?

Podniosła głowę i popatrzyła na niego z absolutną pewnością. ,

- Absolutnie. To bez znaczenia, czy MacKenzie ma teraz Longhorn. To tylko proch, pamiętasz? Tylko kawał terenu.

- Pamiętam, że mówiłem tak na Deseos. - Po twarzy przemknął mu cień żalu. - To był błąd wtedy i jest teraz.

- Co masz na myśli?

- Zamierzam to naprawić.

- Nie musisz tego robić. W ogóle nieważne, gdzie będziemy mieszkać. Nie rozumiesz? - Wzięła go za rękę i położyła ją na swoim brzuchu. - Nie liczy się nic, oprócz naszego dziecka. Jesteśmy

Teksańczykami. Najtwardszymi ludźmi na ziemi. Możemy zapuścić korzenie w dowolnym miejscu.

-1 tak będzie. Zapuścimy je na ziemi Oakleyów. Rosalyn patrzyła na niego z niedowierzaniem.



308

## Day Leclair

- MacKenzie zmieniła zdanie?

- Zmieni.

Porwał ją w objęcia i zaniósł na skórzaną kanapę w kącie gabinetu.

- Nie śmiem zabrać cię na górę - wyznał z wyraźnym żalem. - Nie jestem pewien, czy zdołałbym trzymać ręce przy sobie, a musisz się trochę podleczyć.

- Na szczęście wszystko szybko się goi. Pocałował ją. Raz to było za mało.

- Jeszcze - zażądała, gdy się od niej oderwał.

- Twoje siniaki...

- Możesz je podleczyć pocałunkami. - Zerknęła na niego łobuzersko. - Dobra praktyka, będziesz jej potrzebował po narodzinach dziecka.

Nie musiała go dłużej namawiać. Kilkanaście następnych minut minęło jej w rozkosznym oszołomieniu. Jego pocałunki były wspanialsze niż kiedykolwiek wcześniej. Pożądanie narastało w niej jak fala, zagrażając wymknięciem się spod kontroli. Nagle odsunął się.

- Dość - wysapał. - Dopóki lekarz nie pozwoli. Zdała sobie sprawę, że nie ma nadziei na zmianę jego zdania. Uniosła głowę i popatrzyła na niego ze szczerą ciekawością.

- Powiedz mi, Joc, dlaczego MacKenzie miałyby sprzedać ci Longhorn? Co się zmieniło w ciągu ostatnich dni?

- Pojawiła się Meredith.

- Dane słowo? - Skinął głową. - Co jej obiecałeś?

## **Noc fantazji**

**309**

- Że nigdy nikomu nie powiem, dlaczego sprzedała mi swój dom, a także, że nie sprzedam go bez jej pozwolenia.
- Nie rozumiem - zdumiała się.
- Meredith przyszła do mnie wkrótce po zarobieniu przeze mnie pierwszego miliona, jakieś dziesięć lat temu, z prośbą, bym kupił jej posiadłość.
- Dlaczego?
- Bo znalazła się na skraju bankructwa. Koszty procesów Bossa, podatki i grzywny spowodowane jego nielegalną działalnością pochłonęły praktycznie cały majątek
- MacKenzie nie ma o tym pojęcia, prawda?
- Ani ona, ani jej bracia. Meredith nie chciała. Podejrzewam, że była zbyt dumna. Podzieliła pieniądze pomiędzy wszystkich, twierdząc, że to spadek po ojcu.
- Dlaczego chciała, byś zatrzymał jej posiadłość?
- Chyba miała co do niej mieszane uczucia. Jakaś jej część nienawidzi tego miejsca, bo kojarzy się z Bossem. Ale druga część tęskni do niego, bo było w rękach Hollisterów przez tak wiele lat. Miała poczucie, że dopóki ja posiadam tę ziemię, ona ma czas na dojście do ładu ze swoimi uczuciami i podjęcie ostatecznej decyzji co z nią zrobić.
- Nie rozumiem. Dlaczego miałbyś jej pozwolić o tym decydować?
- To była część naszej umowy. Skoro mnie było wszystko jedno, co się stanie z tym miejscem, taka klauzula mi nie przeszkadzała. Jedyna rzecz, co do której pozostawała niewzruszona, to żebym nigdy nie sprzedał tej posiadłości

**Day Leclair**

żadnemu z jej dzieci. Nie chciała, by przejęły dziedzictwo, które nie dało im nic oprócz bólu.

-To dlatego odmawiałeś MacKenzie nawet dziesięć lat później? - Rosalyn zmarszczyła brwi. -

Dlaczego ona w ogóle się przy niej upierała po tylu latach?

- MacKenzie mniej więcej rok temu odkryła, że to ja, a właściwie jedna z moich firm jest właścicielem posiadłości. Nie mogła tego znieść i od tamtej pory bezustannie mnie o nią nęka.

Rosalyn miała jeszcze coś do załatwienia.

- Jesteś pewien, że nie chcesz tego domu dla siebie?

- Nie postawiłem nogi na ziemi Bossa i nigdy tego nie zrobię.

- Jak sądzisz, co Meredith z nią zrobi?

- Rozmawialiśmy o przekształceniu jej w dom dla dzieci zagrożonych śmiertelnymi chorobami albo centrum rehabilitacyjne dla trudnej młodzieży.

- Powiesz MacKenzie prawdę?

- Zorganizuję spotkanie z nią i Meredith. Zobaczymy, czy się zgodzi z planami matki. Mam wrażenie, że tak, a kiedy się dowie, dlaczego nie chciałem jej sprzedać domu, pozwoli mi kupić Longhorn. -

Uśmiechnął się lekko. - Znajac ją, cena będzie słona.

- Dlaczego, Joc? - spytała miękko. - Dlaczego robisz to dla nemezis swojej matki?

- Bo uratowała mi życie. Rosalyn uniosła się na łokciu.

## **Moc fantazji**

**311**

- Co takiego?!
- Było to w czasie, kiedy próbowałem zmienić swoje życie. Gdy zakończyłem kilka szemranych interesów...
- Dość eufemistyczne określenie.
- Owszem. - Z jego uśmiechu przebijał ból. - Kiedy zerwałem z Mickiem i pozostałymi, skończyły się wszelkie dochody, a byłem jeszcze odpowiedzialny za Anę.
- Ach! Harvard. Meredith opłaciła twoje studia na Harvardzie.
- Nie, jej też brakowało pieniędzy. Nie, nie opłaciła, ale znalazła ludzi, którzy mogli to zrobić. Namówiła ich, by zaryzykowali ze mną. Wspierali mnie w trakcie mojej nauki i przez lata, gdy zaczynałem rozwijać swój biznes.
- Za co otrzymali sowite wynagrodzenie - zgadła Rosalyn.
- Miałem okazję pomóc niektórym z nich - przyznał. -Meredith załatwiła też referencje od kilku znaczących osób z Harvardu oraz mieszkanie, w którym mogliśmy razem z Aną przetrwać początkowe lata.
- Tak wiele - zadumała się Rosalyn. - Dlaczego to robiła?
- Bo rozumiała, że oboje z Aną nie jesteśmy niczemu winni, że cierpieliśmy chyba jeszcze bardziej niż jej własne dzieci. Meredith jest... szczególną damą. Po tym, co zrobiła dla mnie, jak mogłem odmówić jej prośbie, gdy znalazła się w potrzebie?
- Nie mogłeś.

**Day Leclair**

- Próbowwała nawet pogodzić nas i swoje dzieci.

- Bez powodzenia.

- Jej wysiłki tylko pogorszyły sprawę. Zwłaszcza MacKenzie była wściekła na matkę za wtrącanie się. Zawsze sądziła, że mam coś na Meredith, że wywieram na nią jakąś presję. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że jest dokładnie odwrotnie.

Dopiero po dłuższym, miło zresztą spędzonym czasie, Rosalyn zdobyła się na zadanie ostatniego pytania.

- Meredith powiedziała mi coś jeszcze.

- Tak? Co takiego ujawniła?

- Stwierdziła, że mnie kochasz. - Zerknęła na niego niepewnie. - Miała rację, Joc?

Czułość na jego twarzy powiedziała jej wszystko.

- Jak możesz w to wątpić? - Wplątał palce w jej włosy i przyciągnął jej usta do swoich warg. Kiedy ją puścił, zdyszana, uśmiechnął się łobuzersko. - Kocham cię każdą cząsteczką ciała i zawsze będę.

Jeszcze jakieś pytania?

- Tylko jedno. Co będzie, jeśli MacKenzie sprzeda ci Longhorn?

- Wprowadzimy się tam oczywiście. Tak się umawialiśmy, prawda?

- Ale twój kompleks...

- Ach, zastanawiasz się, czy się nie zdecyduję na budowę, kiedy w końcu dostanę Longhorn w swoje ręce?

- Po prostu na moim ranczu jest mnóstwo korzeni. Twoim ranczu - poprawiła się pośpiesznie.

## Noc fantazji

313

- Naszym ranczu, Rosalyn.

- Naszym - powtórzyła, czując, jak rozluźnia się cała na dźwięk tego słowa, mimo że miała zamiar go ostrzec. - Ale jeśli nie będziesz ostrożny, możesz się o nie potknąć.

- Nie potknę się, jeśli i twoje są w tym samym miejscu. A są. Tak zarośnięty teren nie nadaje się do niczego innego jak tylko pod uprawę lub hodowlę. - Scałował jej z policzków łyzy radości i położył dłoń na jej brzuchu gestem, który stawał jej się coraz bliższy, pełen ciepła. - Mam pomysły na imiona. Roześmiała się przez łyzy. -Już?

- Przez ostatnie kilka dni miałem mnóstwo czasu na rozmyślania. - Zrobił się niepewny, co zupełnie do niego nie pasowało. - Jeśli to będzie chłopiec, co byś powiedziała na Joshuę?

Wzruszyła się tak, że z trudem mogła wydusić słowo.

- Tak... tak miał na imię mój brat...

- Wiem, widziałem płytę na cmentarzu.

- Dziękuję. Nadanie synowi imienia mojego brata wiele by dla mnie znaczyło. - Z trudem odzyskała panowanie nad sobą. - Joc?

- Tak, Rudzielcu?

- Kocham cię.

- Tylko to się liczy. - Pocałował ją delikatnie. Sadowiąc się w jego objęciach, Rosalyn była pewna, że to będzie chłopiec. O imieniu Joshua, kruczoczarnych wło-

**314**

**Day Leclair**

sach i oczach błękitnych jak niebo. Wyrośnie potem na barczystego i silnego mężczyznę i stanie się pniem, z którego wystrzelą liczne gałęzie, rosnące coraz szerzej i dalej, sownie odżywiane przez korzenie.

Tkwiące głęboko w teksańskiej ziemi.